

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 12 (54)

Jerozolima, 16 lipca 1945 r.

Rok III

PAX SOVIETICA

The cause... is not in our stars but in ourselves.
Shakespeare.

W chwili, gdy w pierwszej wojnie światowej wydano rozkaz przerwania ognia, Europa wiedziała, czego może spodziewać się od nadchodzącego pokoju. 14 punktów Wilsona, stanowiąc podstawę warunków pokojowych dla Niemiec, równocześnie wytyczała zasady, na których ma się oprzeć nowa organizacja Europy i nowa mapa jej kontynentu. Projekt Ligi Narodów, związany ściśle z koncepcją pokoju, był próbą stworzenia narzędzia obrony też Wilsona w dalszych latach powojennych. Dzięki temu też, że najpierw była dana treść, że przede wszystkim zostały sformułowane wyraźne cele wojny w obozie alianckim, a później dopiero szukano dla nich ram formalnych, konferencja pokojowa mogła rozpocząć swe prace w dwa miesiące po zawarciu zawieszenia broni. W ciągu siedmiu miesięcy traktat był gotowy — podpisano go uroczystie w Wersalu 28 czerwca 1919 roku.

Dziś spotykamy się z odwróceniem sytuacji, z pośpiechem w tworzeniu ram, które będą oczekiwać na treść.

Alianckie cele wojenne sprowadziły się ostatecznie do jednego tylko punktu, posiadającego zgodę wszystkich Sprzymierzonych: do żądania bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. Ale wymaganie *unconditional surrender* jest postulatem negatywnym, nie wskazuje nowego czynnika na miejsce usuniętej niemieckiej siły, nie kreśli kształtu świata uratowanego z hitlerowskiej niewoli i bitewnego chaosu.

Czy można znaleźć coś więcej ponad tę jedyną istotną więź Narodów Zjednoczonych? Zdawało by się, że w owej wojnie przeciw uciśkowi i podeptaniu wszelkich praw ludzkich, istnieje jakiś symbol lepszej przyszłości, jakiś wspólny ideał, i — że jest nim pojęcie demokracji. Tu jednak szybko okazało się, że nie wszędzie oznacza ono prawo samostanowienia narodów, wolność słowa, prasy, zebrań, wolność wiary i przekonań, nietykalność osobistą, bezpieczeństwo od głodu i prześladowań. Jeżeli sprawiedliwość międzynarodową równać się ma przestrzeganiu metod demokratycznych we współżyciu narodów, czym jest sprawiedliwość, gdy nie panuje zgoda co do treści ideałów demokracji?

Konferencja w San Francisco przygotowała statut organizacji, mającej chronić pokój i karać tych, którzy będą usiłowali go naruszyć. Równocześnie jednak te same obrady wykazały, jak daleko sięga brak zgody co do celów i zasad samego pokoju. Nowa Liga Narodów upodobniła się do ram obejmujących nie obraz, lecz pustą przestrzeń, do skarbcza wznoszonego w nadziei, iż kiedyś zdobędzie się i skarb, godny tak troskliwego przechowywania.

Teoretyczny zakaz wojny jest naiwnością. Istotnym narzędziem pokoju jest usuwanie przyczyn zdolnych wywołać konflikt w granicach życia pokolenia. Wszelkie układy międzynarodowe, dążące do zachowania status quo są niejako utrwaleniem i konserwowaniem przyczyn przyszedł katastrofizm, jeżeli zawierane są w nieznanym stanie sytuacji, jaką mają ubezpieczać i gdy może ona z góry mieścić w sobie zadatek konfliktów. Akcja pokojowa zmienia się wówczas w rozpaczliwe odraczanie świeżej wojny, a wraz z rosnącym poczuciem jej niebezpieczeństwa, rozpoczyna się wyścig zbrojeń, znajdujący swój nieuchronny epilog w starciu wrogich armii. Nadzieja długotrwałego pokoju leży nie tyle w lepszym czy gorszym statucie związków typu Ligi Narodów, ile w samej konstrukcji pokoju.

Jedną z jego podstaw stanowiła od dawna tzw. równowaga sił. Była ona zawsze korzystna dla mocarstwa zdolnego odegrać rolę rozstrzygającą i groźbą rzucającą swych sił na szalę wydarzeń powstrzymać starcie między dwoma potencjonalnymi przeciwnikami. Ostatnie dwie wojny światowe zdają się wskazywać, iż żadne z mocarstw światowych nie znajduje się w takim położeniu, by swym przystąpieniem do walki mogło szybko zdecydować losy konfliktu, o ile przeciwstawi mu się jedno z pozostałych mocarstw. Po prostu proporcje wojny są dziś zbyt potężne, zbyt wielkie siły stają przeciw sobie, zbyt wielkie zasoby wchodzi w grę, aby było możliwe szybkie zniszczenie przeciwnika — w ten sposób każda interwencja zbrojna przeistacza się w konflikt zacięły i długotrwały. Nie stać dziś nikogo na to, by dzięki swej własnej sile mógł spełniać rolę naczelnego policjanta pokoju.

Jako alternatywa pozostaje porozumienie

głównych mocarstw. Może się ono dokonać na podstawie przyjęcia wspólnie uznanych zasad życia międzynarodowego i zgodnego pozostawienia wolności mniejszym państwom, bądź też na zasadzie równego podziału siły i władzy wyrażającego się w ustalonych strefach wpływów. W tym drugim wypadku moralność międzynarodowa musi odejść w cień, gdyż granica strefy wpływów jest w istocie rzeczy granicą zagwarantowanej bezkarności i swobody rządzenia na określonym terytorium.

Jeżeli koła amerykańskie przewidują możliwość ogólnej konferencji pokojowej na rok 1946, przyczyną tej rozpiętości między przerwaniem działań wojennych, a podpisaniem traktatu pokojowego, jest brak międzynarodowego ideału politycznego. Powracanie do systemu koncertu głównych mocarstw, do podziału Europy na strefy wyłącznej dominacji jednego mocarstwa, wywołuje przedłużanie się okresu, w którym jedna strona jeszcze wierzy we wspólne przyjęcie pewnych zasad, druga zaś stara się zasiać do obrad podziałowych po zapewnieniu sobie najważniejszych zdobyczy.

II

Publicystyka polityczna często dostrzega podobieństwo współczesnej sytuacji do położenia, w jakim znajdowała się Europa w 1815 po pokonaniu Napoleona. Car Aleksander I do swych wojskowych sukcesów dodawał deklaracje przedstawiające armie rosyjskie jako siłę porządku przywracającą poszanowanie chrześcijaństwa i prawowitej władzy koronowanych monarchów, podobnie jak dziś oddziały sowieckie ubiegają się o nim armii wyzwolenia.

TOMASZ ARCISZEWSKI

Premier Rządu R. P.

POLSKA PROBIERZEM

Premier Arciszewski ogłosił w amerykańskim miesięczniku „New Europe” artykuł, z którego podajemy najistotniejsze fragmenty:

Słusznie zauważono, że sposób rozwiązania sprawy polskiej po obecnej wojnie będzie wskazówką, czy wojna ta spowodowała w stosunkach międzynarodowych jakieś zasadnicze zmiany na lepsze, czy też niewypowiedziane ofiary zostały poniesione na darmo. Zaiste, gdyby Polska miała wyjść z tej wojny okaleczona, pomniejszona w swoich granicach i pozbawiona prawdziwej niepodległości — byłoby to zaprzeczeniem wszystkich tych wartości moralnych, w których imię żołnierze wielu narodów walczyli i ginęli w czasie ostatnich pięciu i pół lat. Atmosfera międzynarodowa zostałaby zatruta krzywdą Polski, a planowana organizacja bezpieczeństwa powszechnego pozbawiona wszelkiej moralnej podstawy. Powinni to wziąć pod uwagę nawet i ci superrealistyczni politycy, którzy składają się obecnie do lekceważenia spraw mniejszych i słabszych narodów. Na dłuższą bowiem metę moralne imponderabilia mogą wpływać na rozwój stosunków międzynarodowych równie silnie jak wielkie zasoby przemysłowe lub wynalazki wojenne.

Wkład Polski do sprawy Zjednoczonych Narodów jest ogromny — proporcjonalnie z pewnością nie mniejszy od udziału któregośkolwiek z aliantów. Gdyby Polska w r. 1939 nie odrzuciła żądań niemieckich, tylko zgodziła się na rolę satelity Trzeciej Rzeszy — jak to uczyniło wiele innych krajów — wypadki mogłyby potoczyć się inną zupełnie koleją. Armie niemieckie uderzyłyby albo na nieprzygotowane państwa zachodnie, których możliwości wojenne były wówczas jeszcze mniejsze niż wiosną 1940 r., albo na Rosję. Jesienią 1939 r. Związek Sowiecki — jak to przyznali pisarze i politycy rosyjscy — był jeszcze daleki od ukończenia swych przygotowań obronnych i można się obawiać, że w owym czasie Rosja byłaby zmuszona do kapitulacji przed zbrojną potęgą hord hitlerowskich. Osamotniona Polska, stawiając bohaterowski opór, ofiarowała mocarstwom zachodnim i Rosji szereg cennych miesięcy na uzupełnienie ich przygotowań wojennych i w ten sposób, być może, odegrała decydującą rolę w sparaliżowaniu niemieckiego zamachu na wolność świata.

Niewątpliwie niemiecka machina wojenna nie mogłaby być złamana bez oporu ze strony naszych zachodnich aliantów i sił zbrojnych Związku Sowieckiego. Z drugiej jednak strony często wypełnia mnie gorzkość, gdy myślę o braku uznania dla roli Polski w tej wojnie. Polska dała dosłownie wszystko. Pięć milionów obywateli polskich legło na polu walki lub zostało okrutnie wymordowanych przez wroga. Ci, co pozostali przy życiu, cierpią niewypowiedziany ucisk. Nasza piękna stolica i inne miasta leżą w gruzach, a nasze dobra kulturalne uległy zniszczeniu. A jednak Polska — chociaż nie zawsze była traktowana w sposób na jaki zasługiwała przez swoją postawę i poniesione ofiary — pozostała przez cały czas wojny lojalna i wierna sprawie Aliantów. Jej armie walczyły na wielu frontach ramie przy ramieniu z wielkimi aliantami. Spośród wszystkich krajów okupowanych my jedni możemy być dumni, że nie wydaliśmy ani jednego kolaborantysty.

Jestem głęboko przekonany, że tylko sprawiedliwe rozwiązanie problemu polskiego może stworzyć mocne podstawy trwałej i silnej organizacji bezpieczeństwa międzynarodowego. Moim zdaniem, organizacja taka winna nie tylko chronić świat od wstrząsów wojennych, ale również gwarantować swym członkom prawdziwą niepodległość i zachowanie ich praw.

W numerze:

X. Kamil Kantak: Anglia i Polska. — Beata Obertyńska: Wiersze. Żona Lota, Samarytanka, Magdalena. — Porucznik Herbert: Każdy kurs północny prowadzi do bazy. — Zdz. Broncel: Jerozolima. — Jan Lechoń: Litwo! Ojczyzno moja... (Mickiewicz wczoraj i dziś). — Prof. St. Kościalkowski: 125 lat „Ody do młodości”. — Józef Wittlin: Piekło i niebiosy. — André Maurois: Amerykanin w Anglii. — Al. Bregman: Duch Banka. — Z prasy obcej: „Displaced persons”. Śladami carów. zg.: Święte i codziennie. — Scrutator: Wielka Brytania, Anglia a Polska. — 100 „Dzienników Mówionych”.

gemonii w Europie Środkowej. Wywieranie przemożnego wpływu na Bałkanach, w Polsce, w Czechach i Austrii rozszerza znakomicie bazę gospodarczą dla powojennej odbudowy Rosji. W dalszej konsekwencji prowadzi to do planów unifikacji gospodarczej okupowanych terenów z wielkim obszarem rosyjskim. Jest jasne, że jeżeli Górny Śląsk ma swymi zasobami rekompensować zniszczenia Donbasu, Rosja będzie chciała połączyć go ze sobą linią szerokotorową. Z kolei zjawia się konieczność nie tylko przystosowania gospodarczego, ale i socjalnego, aby tym łatwiej i szybciej otrzymać rezultaty potrzebne dla sprawnej odbudowy Rosji. Narzucanie zaś systemu społecznego, sprzecznego z tradycjami krajów włączonych w sferę sowiecką, zmusza do stworzenia rządów, bądź to oddanych celom i taktyce komunizmu, bądź też spełniających rolę posłusznych narzędzi.

Podsyćanie antagonizmów pomaga rozbić na drobne organizmy państwowe, słabsze i łatwiej ulegające polityce divide et impera. Przyjmując ustrój gospodarczy zbliżony do komunistycznego, przystosowując ustrój społeczny do wzorów sowieckich, stają się one gospodarczo tak zależne od swego patrona, iż chcą nie chcą, prędko czy później będą szukać z nim coraz bliższych związków. Wyraził się to najpierw w ścisłych przymierzach i traktatach przyjaźni, późniejsze zaś stadium przewidział już swego czasu list Stalina do Lenina z 20 czerwca 1920, przechowywany w archiwach Instytutu Lenina w Moskwie.

W liście tym Stalin, oczekując powstania w przyszłości komunistycznej Polski, komunistycznych Niemiec, Węgier, Finlandii, zaznacza, że państwa oparte o bogatą tradycję historyczną, przywykłe do swoich form państwowych, do własnej armii, własnego skarbu, mogłyby projekt federacji ze Związkiem Sowieckim odczuwać jako ograniczenie swej narodowej niezależności. Dlatego też Stalin wysuwał wówczas tezę konfederacji, dość luźnego związku państw niezależnych, opartych jednak na wspólnym systemie gospodarczym i społecznym.

Wydaje się, iż obecne tendencje panslawistyczne są właśnie wstępem do takiego zastąpienia hasła „powodzenie komunizmu w jednym państwie” przez hasło „powodzenie komunizmu w sowieckiej sferze wpływów”. Marionetkowe rządy odpowiadają szczególnie dobrze poglądom wyłożonym we wspomnianym liście.

III

Polska w planach „zorganizowania obszaru sowieckiego” odgrywa szczególnie ważną rolę. Z dwóch przyczyn: jako najsilniejszy, największy jednolity obszar narodowościowy, posiadający wieloraką, bogatą tradycję historyczną, oraz — po drugie, — jako ziemia leżąca między Niemcami a Rosją.

Liczebność narodu polskiego, związki kulturalne z Zachodem, podejmowane w przeszłości próby federacyjne, wszystko to wyznaczałoby dziś Polskę na najsilniejszy czynnik jednoczący w Europie Środkowej, głównie zaś wśród Słowian południowych i zachodnich. Toteż celem polityki rosyjskiej wobec Polski jest przede wszystkim, jako wszelki warunek wstępu, obezwładnić tradycję jagiellońską, sprowadzić państwo polskie do charakteru ściśle etnograficznego. Podobnie jak rozbiła się Jugosławia na drobne czony narodowościowe, przewidziane w przyszłości na samodzielnych członków panslawistycznego związku, tak Polskę polityka rosyjska rozczłonkowuje na jej historyczne części składowe: ziemie polskie, ruskie, oraz dawne litewskie, określane obecnie, ze względu na część ich ludności, jako białoruskie.

Często z dobrą wiarą wysuwano argument, iż aneksja polskich Ziemi Wschodnich nie przedstawia istotnych wartości dla Związku Sowieckiego, rozporządzającego olbrzymimi obszarami Eurazji. Było to zapominanie o doniosłym zysku politycznym jaki Rosja pragnie w ten sposób uzyskać. Utrata bowiem Ziemi Wschodnich przez Polskę narusza zasadniczo charakter państwowości polskiej, odbiera jej tendencje federacyjne, przekreśla sześć wieków historii i państwo zdolne do skupienia wokół siebie wolnych narodów zamienia w organizm, który będzie zbyt słaby, by w dzisiejszych warunkach nie ulec wpływowi obecnej polityki. Leży w rachubie ro-

(Dokończenie na str. 6-ej)

X. KAMIL KANTAK

ANGLIA I POLSKA

Jeżeli dawne przysłowie mówi „Inter arma silent musae“, to z tym większym zadowoleniem wypada powitać każde poważne wydawnictwo przerywające to milczenie. Zwłaszcza w obecnych trudnych warunkach trzeba ocenić przeszkody, jakie musi pokonać autor, który przygotował do druku obszerną książkę, obejmującą 284 strony druku, opartą na żmudnych badaniach naukowych. Szułdrzyński wytknął sobie zadanie nakreślenia historycznego rozwoju stosunków polsko-angielskich na tle dzisiejszego sojuszu i wspólnego udziału w wojnie. W ten sposób książka zyskuje również charakter aktualno-polityczny, zwłaszcza, że autor, zajmując się związkami między Polską a Anglią, szczególnie nacisk położył na stosunki polityczne. Końcowy wniosek autora rzuca najpewniejsze światło na zamierzenia książki, pozwalając ocenić, czy osiągnęła ona swój cel i spełniła swoje zadanie.

„Współpraca polityczna Anglii i Polski wiąże się z całokształtem wielkiej polityki międzynarodowej, stanowiąc jeden z bardzo istotnych i trwale aktualnych elementów rozwoju Europy. Niezależność Polski od Niemiec i Rosji i realizacja własnej polskiej polityki państwowej stanowi warunek, którego spełnienie decydująco przesądza o możliwości takiej współpracy — celowej i korzystnej zarówno dla Anglii, jak i dla Polski. Zrozumienie tej prawdy podstawowej skłoniło Anglię i Polskę do zawarcia umowy o udzieleniu sobie wzajemnej pomocy. Od dochowania tej umowy zależy pomyślność i Anglii, i Polski, i Europy. Natomiast wypaczenie lub odstąpienie od realizacji celów przymierza polsko-angielskiego oznaczałoby zmierzch Europy i prędzej czy później nową katastrofę dla świata“.

Istotne teraz jest pytanie, czy czytelnik, zapoznawszy się z materiałem tak skrętnie przez Szułdrzyńskiego zebrany, dojdzie do tego samego wniosku, co autor. Zanim na pytanie to odpowiemy, trzeba podnieść przede wszystkim pilność i sumiennosc autora w zgromadzeniu odpowiednich danych i trafny na ogół sposób ich opracowania. Podczas paroletniej pracy nad książką, Szułdrzyński nie miał do rozporządzenia odpowiednio zaopatrzonej pracowni naukowej, korzystał z dostępu tylko do miejscowych bibliotek, kto zaś zna skromne warunki emigracyjnego życia, ten potrafi ocenić i wysiłek, i wytrwałość autora w dążeniu do celu.

W tej sytuacji Szułdrzyński mógł zdobyć tylko ułamkowy materiał. Tak np. w bibliografii dzieł, z których korzystał, brakuje tak zasadniczej pozycji jak „Sejm Czterolletni“ Kalinki, gdyż książki tej nie sposób było dostać w Jerozolimie. Natomiast, czy doprawdy nie można otrzymać studiów A. Sorrela, bezwarunkowo podstawowych dla historii dyplomatycznej epoki rewolucyjnej i napoleońskiej? Ta właśnie cząstkowość źródeł często daje się odczuć, odbijając się dość wyraźnie na oświetleniu szeregu zagadnień — tym niemniej nie wydaje się, by autor pominął rzeczy istotnie niezbędne.

Główna teza Szułdrzyńskiego, podkreślając korzyść przymierza polsko-angielskiego dla nas samych, przedstawia je jako jeden z niezbędnych czynników polityki angielskiej. Można tu mieć wątpliwości, czy angielski mąż stanu widziałby to zagadnienie w tym świetle. Spojrzawszy na wspaniały rozwój Imperium Angielskiego w wieku XIX-tym, wtedy właśnie kiedy państwo polskie nie istniało, gotów on powiedzieć, że Polska nie wiele ważyła w angielskiej historii i w angielskim rachunku politycznym. W dawniejszych zaś wiekach, za czasów Polski niepodległej, współpraca wprawdzie istniała i była przyjazną, dotyczyła jednak spraw zgoła drugorzędnych, dla żadnego z partnerów nieistotnych. Na koniec, układ angielsko-polski z r. 1939 wyszedł z pierwotnie jednostronnego aktu angielskiego, gwarantującego terytorium Polski wobec groźby niemieckiej. Źródłem tego kroku była tradycyjna zasada polityki angielskiej przeciwstawiania się mocarstwu, które by usiłowało opanować kontynent europejski — te same powody zmusiły niedługo Wielką Brytanię do wojny z Napoleonem i Wilhelmem. Aż do obecnej wojny próbom hegemonii w Europie przeciwstawiła Anglia dążenie do równowagi sił. Szułdrzyński wysuwa tezę, że pewnego rodzaju idealną równowagę mocarstw mógłby stanowić układ polityczny, w którym czołowe miejsca w Europie posiadałyby cztery mocarstwa: Francja, Polska, Niemcy i Rosja, i w którym Francja równoważyłaby wpływy niemieckie, silna zaś Polska — znaczenie Rosji. Zapewne tego typu balance of powers najbardziej dogadzałyby Anglii. Wiadomo jednak, że w wieku XVIII-tym i XIX-tym obywatela się bez Polski, współpraca z Polską nie stanowiła zatem dla Anglii conditio sine qua non.

Od czasu, gdy Polska zaczęła tracić swoje mocarstwowe stanowisko, znaleźliśmy się wobec Anglii w stosunku biorącego do dającego. Z biegiem wieków pogłębiało się to coraz bardziej. Polska stawała się dla Anglii partnerem mało ważkim, chociaż Polak skłonny może będzie naszą rolę przeceniać, znajdując w tym, nawet mimo woli autora, pewne poparcie w książce Szułdrzyńskiego. Szułdrzyński bowiem, starając się zebrać jaknajwięcej danych o wzajemnych stosunkach i szeroko o nich pisać, może wywołać wrażenie czytelnika, iż były one znacznie większe i ściślej niż w rzeczywistości — zwłaszcza u czytelnika nieprzygotowanego do podobnej lek-

tury. Ze wzmianek tu i ówdzie rozsianych w książce wolno wnosić, że jednak autor ani takiego mniemania nie podziela, ani nie chce go szerzyć.

Stopień zainteresowania Anglii państwami kontynentalnymi zależy m. in. od tego w jakiej mierze mają one charakter nadmorski. Polska, musimy to sobie powiedzieć, była państwem wyraźnie śródlądowym i jej ambicje nie zwracały się ku morzom i zamorskim dzierżawom, ale ku skupianiu w jeden organizm państwowy zaprzyjaźnionych z nią krajów. Jedynie w krótkim okresie za Zygmunta Augusta i Stefana Batorego państwo polskie posiadało tak znaczny obszar wybrzeża, że mogliśmy zyskać znaczenie na morzu, zwłaszcza, gdyby w dobie wojny trzydziestoletniej skorzystano ze sposobności położenia ręki na Pomorzu Zachodnim. Ponadto Bałtyk, jako morze zamknięte nie należał nigdy do głównych celów polityki angielskiej — z lekkim sercem ustępowała Anglia panowanie nad Bałtykiem temu, kto się nadarzył: Szwecji, Rosji, bądź Niemcom. Tak więc zarówno słabość państwowa Polski, jak i jej położenie geograficzne, dalekie od wielkich szlaków morskich, sprawiały, że Wielka Brytania nie miała dla Polski poważnych zainteresowań.

O pierwszym z tych czynników Szułdrzyński mówi obszernie, na drugi warto by zwrócić więcej uwagi. Tutaj Turcja może służyć jako przykład przeciwny — położona daleko od Anglii, nie mająca z nią wspólności kulturalnej, była jednak od dawna ważną pozycją angielskiej polityki, dzięki swemu sąsiedztwu z drogą ku Indiom.

Książka Szułdrzyńskiego wysuwa Rosję na czoło wrogów Polski. Od kilku stuleci istotnie brało swój początek w Rosji prawie wszystko, co było zwrócone przeciwko polskiej

sił i niezależności. Nie można jednak owej groźby rosyjskiej przenosić zbyt głęboko w przeszłość, kiedy zasadniczym antagonizmem był anatanizm polsko-pruski, następnie zaś polsko-niemiecki. Konflikt polsko-niemiecki był przeciwieństwem między dwoma czynnikami wzajemnie się wyłączającymi i mógł się skończyć tylko zagiadą jednego z nich. Niemcy doskonale zdawali sobie z tego sprawę, Polacy, pochłonięci oporem wobec Rosji, często o tym zapominali. Szułdrzyński trafnie podkreśla, że Polska w wieku XIX i XX znalazła się wciśnięta między Rosję i Niemcy, dwa brutalne kolosy państwowe, nie wolno jednak nigdy zapominać niebezpieczeństwa niemieckiego i, mając oczy zwrócone ku nowym trudnościom, nie wolno powtórzyć błędów dawnej Rzeczypospolitej, która dopuściła do odrodzenia się siły pruskiej po klęsce Grunwaldu.

Autor studium o stosunkach polsko-angielskich nie ograniczył do zagadnień politycznych, ale przyniósł także wiele ciekawych i żywych przykładów o wzajemnych związkach cywilizacyjnych, zwłaszcza z wieku XVI i XVII. Do ciekawych kart książki należą także obficie przytaczane opinie Anglików o Polsce, bądź to z dawniejszych, bądź dzisiejszych czasów.

O ile w tym zakresie, poza drobnymi lapsus calami, podpisałem się pod wykładem autora, o tyle sądzę, że należy podnieść pewne zastrzeżenia wobec oświecenia kilku wydarzeń historycznych. Uważam np., że rozejmy zawierane ze Szwecją, na koniec zaś pokój Oliwski były dla Polski nierównie szkodliwsze, niż pokój Karłowicki. Jeżeli Szułdrzyński wspomina rolę, jaką odegrał poseł angielski w traktacie Karłowickim, tym bardziej trzeba by wypomnieć rozejmy podpisane w Starym

Targu (Altmarkt) i w Sztumskiej Wsi (Stummdorf). Ostatecznie Karłowice odzyskiwały dla nas Podole i przypieczętowały tylko utratę Mołdawii, której Jan III nie zdołał zdobyć, podczas kiedy układy ze Szwecją osłabiły nas poważnie na odcinku bałtyckim i pozwoliły na rozrost Brandenburgii.

Przymierze polsko-pruskie wraz z całą akcją Pitta było przedsięwzięciem z góry skazanym na niepowodzenie. Jakiegokolwiek były wówczas zamiary angielskie, nawet całkowite ich powodzenie nie zapobiegłoby wydaniu Polski pod przewagę pruską. Prusy od początku postępowali z pełną perfidią, a politycy Sejmu Czterolletniego wpadli niebacznie w zdradliwą pułapkę. Lucchesini, który kierował ową podstępna grą pruską, powiedział o nich: „Ci pocziwcy wierzą we wszystko — czyż nie uwierzyli temu, co im naopowiadałem w roku 1790?“.

Chętnie dajemy wiarę szlachetnym dążeniom Castlereagha, który jedyny na Kongresie Wiedeńskim szczerze się domagał wskrzeszenia niepodległej Polski. Nie można jednak zamykać oczu na fakt, że ostatecznie jego wspólna z Talleyrandem i Metternichem akcja przysporzyła Prusom Księstwo Poznańskie, podczas gdy dla Polski było by korzystniejsze, gdyby nieuszczipione Księstwo Warszawskie otrzymało statut Królestwa Kongresowego, skoro nie powiodło się wskrzeszenie niepodległej Polski.

Słusznie ocenia Szułdrzyński akcję dyplomatyczną Wielkiej Brytanii w sprawach polskich w XIX wieku. Była ona pełna dobrych chęci, Anglia jednak nigdy nie chciała zaangażować się tak poważnie, by mogło to doprowadzić do wojny. Anglicy stawiali przy tym rzecz jasno w przeciwnieństwie np. do Napoleona III, który mamii i Polaków, i siebie. W roku 1832 Palmerston wyraźnie powiedział Czartoryskiemu: „Nie możemy przecież pozwolić sobie na wysłanie armii do Polski, a spalanie floty rosyjskiej nie miałyby większego znaczenia, niż spalenie Moskwy“. W Polsce po roku 63-cim miłośno uraz do Anglii, iż nie poparła powstania — Szułdrzyński trafnie podnosi obiektywną niesłuszność tych żalów; trzeba zresztą dodać, że ani powstanie 1830, ani powstanie 1863 nie było należycie przygotowane dyplomatycznie.

Książka Szułdrzyńskiego poświęca wiele miejsca polityce Hotelu Lambert, wydatniając jej poszczególne momenty. Wydaje mi się jednak, że autor nie podkreślił przyczyny, dla której nie udało się Czartoryskiemu wygrać mocarstw zachodnich przeciw Rosji. Ani w Paryżu, ani w Londynie nie oceniano niebezpieczeństwa rosyjskiego jako groźne, Rosja zaś okazała się w końcu sojusznikiem potrzebnym i pożądanym. Na tym tle znamienne jest, że cała angielska akcja dyplomatyczna na rzecz Polski obracała się w ramach Traktatu Wiedeńskiego, upominając się o przestrzeganie jego postanowień w stosunku do Królestwa Kongresowego, nie dochodząc jednak nigdy do tezy Castlereagha, który niedługo żądał Polski zjednoczonej i prawdziwie niepodległej.

Jeżeli co mogło źle usposobić polską opinię do polityki angielskiej to próby, aby podczas wojny tureckiej 1877 roku wywołać dywersję przeciw Rosji kosztem narodu polskiego. Rzecz nie dała rezultatów, ale i tu Wielka Brytania miała tyle uczciwości, że nie składała żadnych politycznie wiążących obietnic.

Nie budzi zastrzeżeń przedstawienie stosunków polsko-angielskich podczas wojny światowej 1915-18 i w dobie wskrzeszonej Rzeczypospolitej. Anglia tutaj jakby ponownie odkryła Polskę i po wielu wątpliwościach, niedociągnięciach, wahaniach, doszła do przekonania, że może w niej znaleźć partnera na pewnym odcinku swej polityki, partnera zresztą słabszego militarnie, niż to sobie wyobrażała w r. 1939. Dalszy bohaterstwo opór Polski, walki w Narwiku, we Francji i w Tobruku, zmieniły sytuację i w pewnym okresie Polska była niewątpliwie najbardziej popularnym sojusznikiem. Nad dalszym rozwojem stosunków polsko-angielskich zaciążyła ogólna sytuacja polityczna. Dziś może jest jeszcze zbyt wcześnie, aby ostatecznie ocenić rezultaty polityki przymierza polsko-angielskiego. Mimo wszystko, ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane.

Książka „Anglia i Polska“ stanowi dodatnią pozycję w naszym dorobku publicystycznym. Od czytelnika wymaga niemałej uwagi i współpracy. Wymaga też i oczytania historycznego i zdolności politycznego myślenia. Gotowa rozwiać niejedno uprzedzenie, sprostować sąd zbyt pośpieszny, uczyć oceny położenia i poczucia rzeczywistości. Czytelnik natomiast mniej wyrobiony może ulec, wskutek skrzyżnego zgromadzenia licznych przykładów związków polsko-angielskich, sugestii, iż stosunki te były bardziej ożywione i bardziej dla Anglii doniosłe, niż się to w istocie działo. Takie zaś wrażenie doprowadzi czytelnika do zbyt fatywnych wniosków politycznych.

Ze względu na specyficzne warunki pracy na uchodźstwie, książka Szułdrzyńskiego nie stanowi pozycji „ne varietur“. Przeciwnie, było by pożądaną, aby ten sam autor mógł podjąć swe studia na nowo, w normalnych warunkach, korzystając z całości źródeł i pisząc w atmosferze nie nabrzmiałej nieszczęściami wojny. Byłbym szczęśliwy, gdyby wówczas mógł mu stać się pożyteczne niniejsze uwagi.

BEATA OBERTYŃSKA

WIERKSZE*

ŻONA LOTA

*Za ostatnie, bezwolne głowy obrócenie
na stronę — rudą ulewą sieczonego — miasta —
krzepnie na mnie z szelestem wilgotne odzienie
i sól mnie szorstką korą na wicherze porasta..*

*Już nie walczę... nie wołam. Stóp odbiegłych ślady
wiatr wygładził i krzyk mój wydmą rozmiótł pustą,
martwiejące kolana chłód mi związał błądy —
i dech znajomą drogę zagubił ku ustom...*

*Już nie wołam. Choć żywa, jestem już umarła.
W biały ślup się zamieniam. Śmierć skorupą ciasną
od stóp mnie przyobleka i pełnie do gardła
za to jedno spojrzenie wstecz! O miasto! Miasto!*

*Gdy sól dojdzie do serca — ze strachu zjeżona
targnie mi myśl ostatnia włosów twarde struny.
... I zostanę na wzgórzu samotna i słona —
prześwielona miedziano rdzą gasnącej łuny...*

SAMARYTANKA

*Jakżeś mi nie miał wtedy win moich wszystkich wyliczyć,
gdym Cię nasza samotnym przy niskiej cembrzynie,
skoro, lepiej ode mnie, o każdej mej winie
wiedziałeś — zanim przyszła, by mnie w szpony chwycić.*

... A przecież zapragnąłeś pić z mojego dzbanu. —

*Wiedziałeś o mnie wszystko, Ty, coś wzrok natchniony
w mroczną głęb mojej duszy, jak wiadro w dół puścił
i na światło słoneczne, z wilgotnej czełusci
dźwignął wodę zatrutą — mętną i zieloną —*

Taką mi tylko wodę podać Ci sądzono..

*A jednak — choć w bezruchu na dnie studni gnije,
wiem, że patrząc oczyma litością smutnemi
— Ty, coś zgarnął na Siebie wszystkie winy ziemi —
nawet się takiej wody zatrutej — napijesz. —*

MAGDALENA

*By serca potem stłumić niepokoję
na puszczę, z tysią czaszką mieszkającą we dwoje.
Nad przepychem win dawnych łamałaś ramiona
cała biała-różowo-żółta i skruszona...*

*— Ja dziś także żałuję. Żałuję myśli męce.
Żałuję z budującą szczerością i siłą
wszystkiego, co szkarłatne, mocne i trujące,
wszystkiego — czego nie było ! !*

*) Nakładem Sekcji Wydawniczej Jednostek Wojska na Śródkowym Wschodzie ukazał się wybór wierszy znakomitej poetki, Beaty Obertyńskiej, zaopatrzonej przedmową dr Janiny Pilatowej. Z tomu, zawierającego zarówno utwory pisane przed wojną, jak i utwory, które powstały już podczas wojny w Iraku, Palestynie i Włoszech, wyjmujemy trzy wiersze związane tematycznie ze Starym i Nowym Testamentem.

PORUCZNIK HERBERT

KURS PÓŁNOCNY PROWADZI DO BAZY

(Dokończenie z Nr. 11 (53))

Słońce już było wysoko, gdy opanowałem się wreszcie i zacząłem zastanawiać się nad sytuacją. Gdybym nie był zgubił rakiet, byłbym uratowany. Gdyby zrobili jeszcze jedno okrążenie — musieliby mnie zobaczyć. Wiatr pędzi mnie stale z dużą szybkością na południowy wschód. Jestem zapewne bardzo daleko od miejsca gdzie wyskoczyłem, lecz przecież powinni się z tym liczyć. Może o zachodzie wznowią poszukiwania? Może będą szukali jeszcze jutro? Może ktoś dostrzeże mnie przypadkiem w przelocie?

Jeśli morze będzie spokojne, mogę przeżyć tydzień, a nawet dłużej. Pastylki i mleko skondensowane powinny wystarczyć na podtrzymanie sił. Tylko — nie mam czym ugasić pragnienia!...

Ledwie o tym pomyślałem, już mi się chce pić; już mącą się myśli; już pierzcha nadzieja.

Czuję piekielny ból w uszach. Każdy podmuch wiatru kłuje jakby igłą w mózg. Bola mnie wszystkie mięśnie. Rwie w stawach. Mdli, skreca wewnątrzności. Jak długo to będzie trwało?...

Przed zachodem słońca, jak przewidywałem, zaczął się ruch w powietrzu. Z początku słyszałem tylko warkot silników i nie mogłem nic dojrzeć w górze. Później zobaczyłem białe smugi sunące po niebie z północy na południe. Wyprawy szły na dużej wysokości.

Widziałem jak wracali. Szły znacznie niżej, ale za wysoko bym nie dostrzec. Poznałem po uszykowaniu nasze skrzydło myśliwskie. Lecą wprost nade mną. Żadnemu z nich nie przychodzi na myśl, że jestem tu, o dziesięć tysięcy stóp pod nimi...

Zapada noc. Znowu trzeba się przygotować na wszelkie niespodzianki i na nową walkę z morzem. Tylko — czy warto walczyć? Cóż może przynieść następny dzień? Jeżeli nie znaleźli mnie dziś — to tym bardziej nie znajdą jutro...

Morze jest dosyć spokojne; wiatr po dawnemu pcha mnie wciąż w stronę Francji. Reflektory niemieckie są już znacznie jaskrawsze od angielskich. Dokoła mnie w wodzie iskrzą się miliardy świecących żyłtek. Jakież duże, chyba dwumetrowe stworzenie przemknęło raz i drugi blisko mojej łódki. Wiem, że nie ma tu rekinów, ale — a nuż się jakiś zabłąkał? Trzymam więc żelazny maszt w pogotowiu i nie spuszczam oczu z fal.

Nad ranem słyszę pianie kogutów. Wiatr o świcie ustał zupełnie. Morze prawie gładkie. Na niebie cisza — żadnych samolotów nie widać.

Postanawiam pisać pamiętnik na kołnierzyku od koszuli, który zdążył wyschnąć. Oderwałem go i ostrożnie odkręciłem ochroniacz pióra. Atrament jest bladej, wodnistej, ale — jest. Drobne litery na strzępie płótna wydają mi się czytelne.

Napisałem coś w rodzaju listu do kolegów i do dowódcy, oraz kolejno — uwagi w sprawie ekwipunku i jego zabezpieczenia na takie wypadki, jak mój. Potem starannie zawiniąłem kołnierzyk w ceratowy pokrowiec od opatrunku i schowałem do wewnętrznej kieszeni. Jeżeli znajdą moje zwłoki, może się to przydać: może uratować innych. Zależniwszy tę sprawę doznałem uczucia ulgi.

Jest ciepło. Słońce grzeje. Dokoła cisza i pustka. Nawet mew nie ma. Myśli płyną ku moim najbliższym, a pamięć przenosi mnie w coraz odleglejsze czasy. Matka — dzieciństwo — dom rodzinny i tych dwadzieścia kilka lat życia, aż do wybuchu wojny.

Po południu moje ubranie wyschło wreszcie prawie zupełnie. Słońce skłania się ku zachodowi, ale nie czuję chłodu. Za to mam coraz większe pragnienie. Tabletki „Horliksu“ już od dwóch godzin nie chce rozpuścić się w ustach.

Pod wieczór usłyszałem samoloty. Szły wysoko z dala ode mnie, na samym horyzoncie. Czyżby był już poza Kanałem?

Przypuszczam, że znajduję się gdzieś na linii Dieppe-Cherbourg, w odległości piętnastu lub dwudziestu mil od wybrzeża Francji. Wiatr północny, wschodni lub zachodni w ciągu jednej doby może dopchać mnie do brzegu, na którym są Niemcy. Tylko wiatr południowy byłby pomyslny. „Każdy kurs północny prowadzi do bazy“... Gdyby zaczęło dąć z południa z taką siłą, jak poprzednio dęło z północy — w ciągu trzech dni mógłbym dotrzeć do brzegów Anglii. Gdyby zaczęło dąć z południa...

Ledwie to pomyślałem, prawie gładka powierzchnia morza zaczęła się marszczyć, później fałdować, a potem szumieć i pluskać. Bryzgi wody raz po raz padały na fartuch dinghy. Fale rościły. Jedną wśliznęła mi się na kolana, druga chlusnęła w plecy.

Płynę! Płynę na północ, o czym świadczy słońce chyląc się ku zachodowi na lewo ode mnie. Z braku zagubionych wiosełek, służących również za podstawę masztu, opieram go o własny brzuch i rozwijam żagiel.

Przed samym zachodem słońca ujrzałem Fortecę wracające z wyprawy. Szły wysoko nade mną. Podniosłem głowę i liczę. Wtem bliski warkot silników wstrząsnął mną, jak prąd elektryczny. Jedna z Fortec leci nisko, tracąc wysokość. Na jej skrzydłach — dwa Spitfire'y, jakby w klucz, a dwie polskie czwórki myśliwców patrolują dokoła. Kręcą żaglem nad głową. Skracają wprost na mnie!

O Boże! Widzą... Zniżają się! Serce wali. Pochylają się do skrętu, i —

(Wg. relacji por. pil. L. K.)

nie: nie widzą... Wyciągają w górę, przekładają w przeciwny skręt, oddalają się. Jeszcze jeden zawód...

Ale wiatr dmie. Wiatr południowy. Bądź co bądź, zbliżam się ku Anglii. Wiatr jest mi teraz jedynym sprzymierzeńcem.

Ukląkam w dinghy, żeby z niej wyczerpać wodę. Niespodzianie nadbiegła duża fala uniosła mnie, „sprzymierzeniec“ dopomógł i wywrócił łódkę. Całodzienne suszenie ubrania poszło na marne. A noc zapada i znowu dzwonią zębami, dygocę z zimna.

Wiatr dmie coraz silniej. I cieszę się, i boję się: czarne chmury zaczynają pęcznieć na horyzoncie... Może będzie deszcz? Może ugaszę pragnienie?

Słyszę znowu pianie kogutów. Zaczynam podejrzewać, że to złudzenie, bo w uszach mam pełno przeróżnych dźwięków i — boli.

Od pasa w dół zdrętwiałem wskutek siedzenia w zimnej wodzie bez ruchu. Nie mogę poruszyć nogami. Co będzie, jeżeli dinghy znowu się wywróci?...

Zaczyna padać deszcz. Strząsam wodę z fartucha i rozpościeram go na kolanach, by nałapać deszczówkę. Ale przelotny deszczyk kończy się prędko. Zgarniam odrobinę wody z fartucha pokrywką od latarki i piję. Jest skona...

Już nie panuję nad sobą: wyciskam z tubki ostatnie krople mleka, żeby zwilżyć obolały język. Nie zostało mi nic poza pastylkami. Ale chwilowo doznaję ulgi. Podnoszę wzrok ku niebu. Chmury przeszły; widzę przed sobą Wielką Niedźwiedzicę. Płynę na północ.

— Każdy kurs północny prowadzi do bazy!

Nad ranem budzę się z odrętwienia. Jestem dziwnie obojętny i leniwy. Nie zdaję sobie sprawy, czy spałem w nocy. Każdy ruch sprawia mi ból. Skórę na łokciach mam pościeraną o rękawy; sól morską jątrzy skaleczenia. Gryzę i połykam suchą tabletkę „Horliksu“. Jest zimno. Z niecierpliwością spoglądam na słońce, czekając aż się podniesie, by mnie ogrzać.

Usiłuję przezwyciężyć lenistwo i zaczynam wylewać wodę z dinghy. Ale w tej chwili ktoś mówi mi do ucha:

— Jak ci nie wstyd?! Dogadzasz im, zasługujesz się...

— Komu? — pytam zdumiony.

— Komu? — powtarza głos. Wing Commander. Wing Co-mmandor-do-rom!

Nie rozumiem. Nie wiem, co to ma znaczyć. Ale czuję, że ktoś niesłusznie mnie podejrzewa.

— Przecież ja tylko żeby się rozgrzać. O — fala napęnia łódkę prędzej niż mógłbym z niej wyczerpać wodę!

Ktoś za mną śmieje się urągliwie, ironicznie:

— Dogadzasz Wing Commanderom! Ha-ha, ha! Wing Commanderom!

Ten śmiech jest nieznośny. Nie będę wlewał wody! Nie chcę. Pić! Pić mi się chce!

— Krew! Krew! — ktoś woła z góry. — Krrew!

Podnoszę wzrok. To mewy. Dwie z nich chcą usiąść na burcie dinghy. Spłoszyłem je krzykiem:

— Jeszcze nie jestem gotów!

Więc usiadły na morzu i cierpliwie czekają płynąc obok mnie. Patrzę na nie obojętnie. Jestem senny. Przysypkam oczy. Po chwili — ktoś gra na harmonii. Aha: to Grzyb z 306 dywizjonu.

Słońce grzeje: mile rozbierające ciepło rozechodzi się po plecach. Za chwilę zasną, a wiem że nie powinienem, bo oczekuję przyjazdu Naczelnego Wodza. Miał przyjechać w poniedziałek... Ale — prawda! — przecież ja nie wróciłem z wypadu nad Francję...

Wydaje rozkaz: „Przygotować trumnę do dekoracji!“

Kwiaty, kwiaty, kwiaty! Chryzantemy — rdzawe i białe. Sściągają się, sypią się z góry. I nagle — jak wybuch granatu — czerwone, skąpane we krwi gwoździki! Idzie od nich podmuch, który rozrzuca chryzantemy na wszystkie strony. Czarne wieko trumny sterczy ostrymi kantami, które rozszerzają się, urastają do rozmiarów domu, hangaru,

ZDZISŁAW BRONCEL

JEROZOLIMA

*Chmury dramatyczne,
chmury napiętrzone,
wieża z kości białej,
tkwica w nieboskonie.*

*Teatr podobłoczny,
maszyna święta —
Biblia ponad miastem
w adonajskich rękach.*

*Neon błyskawicy,
megafony burzy,
knock-out bożej pięści —
genezyjskie grzyzy.*

*Potop — zawieszony
w próżni nadzmysłowej,*

lotniska... I co teraz będzie? Jakże — z taką olbrzymią trumną?...

Warkot samolotów przerywa te majaczenia. Otwieram oczy. Na średniej wysokości idzie wyprawa Bostonów, eskortowanych przez Spitfire'y.

Nagle jeden Boston zakopci, odłączył się od sztyku; zwraca, tracąc wysokość w skrecie, i nisko, akurat nade mną wraca do bazy. Dwa Spitfire'y towarzyszą mu wiernie, zachodząc z obu stron szerokim łukiem.

Nie ruszam się: i tak nie zobaczę... Patrzę na morze. Dokoła mnie płyną kępy wodorostów. Czyżby to miało świadczyć o bliskości brzegu?...

Mijają mnie z szybkością około metra na sekundę.

— Więc jeżeli prąd jest od brzegu, a ja płynę z wiatrem, to robię półtorej mili na godzinę. Niech będzie nawet mila na godzinę, to i tak w cztery dni można przepłynąć cały Kanał. A przecież płynę z tym wiatrem już całą dobę. Jeżeli wiatr się nie zmieni, to za trzy dni...

Coraz więcej wodorostów naokoło. Wyławiam sporą ich kępkę i próbuję żuć, ale pieką jak pieprz.

Morze staje się coraz burzliwsze. Muszę uważać, żeby fale nie uderzały z boku, bo mnie wywróci. Jeden z uchwytów dinghy jest naderwany. Spoglądam z niepokojem na odstający strzępek gumy i nasłuchuję, czy nie zacznie syczeć powietrze. Dopompowywać trzeba coraz częściej.

Fala raz po raz uderza mnie w plecy, oblewając całego, lub wynosi mnie wysoko na swój grzbiet, z którego po chwili zjeżdżam w głęboką brudę.

Słońce zachodzi. Chyba spałem, bo przecież niedawno było południe. Wiatr wzmaga się ciągle. Na horyzoncie — chmury.

— Może znowu będzie deszcz? Oby tylko nie burza...

Pragnienie — straszne. Oddech mam krótki i szybki, jak po zmęczeniu. Z trudem przełykam dwie pastylki „na podtrzymanie energii“: boję się nocy.

Wiatr napina żagiel, aż trudno utrzymać sznury, które wrzynają się głęboko w namoknięte, ciastowate dionie.

Płynę na północ. Po zapadnięciu ciemności nie spuszcza z oczu Wielkiej Niedźwiedzi, która wskazuje mi Gwiazdę Polarną. Konstelacje mrugają ku sobie porozumiewawczo: „On płynie na północ. Wicie? — Każdy północny kurs prowadzi do bazy“.

Ale z dołu, chyba z samego dna morza ktoś podgląda gwiazdy.

Ho-ho! On płynie na północ... Wielka Niedźwiedzica twierdzi, że ten w dinghy płynie na północ — chlupocze fala. — I cóż na to Wing Commanderowie?

Ktoś zaśmiał się głośno tuż obok mnie. Chlasnęło po wodzie, zadudniło i nagle — dzwonią dzwonki elektryczne!

Obejrzałem się w tamtą stronę. Daleko, w lewo ode mnie chwieje się na falach jasna, świecąca kula.

— Boja ratownicza! Omal jej nie miąłem...

Zwijam żagiel i zaczynam wiosłować. Może za chwilę będę mógł napić się czystej wody; ogrzać się w ciepłym suchym „śpiworze“ i nadać sygnał przez radio?!

Mecz się szybko, lecz wiosłuję nadal, bo światło zbliża się, rośnie, jest coraz jaśniejsze. Jeszcze sto jardów... Jeszcze osiemdziesiąt... Pięćdziesiąt... Jeszcze tylko parę ruchów...

Wtem świetlista kula rozdwaja się, rozplywa się w dwie różne strony. Na prawo płynie wielki, różowy łabędź: na lewo zwolna zapada pod wodę pomarańczowy stoł...

Przestaje wiosłować. Przecieram oczy. Słoń podnosi trąbę i ryczy żałośnie. Już znikł. Łabędź płynie dalej, kołyszac się na falach w dół i w górę, w dół i w górę...

— Przywidziało mi się chyba — myślę.

— Nie ma na świecie różowych łabędzi...

Podnosząc żagiel słyszę złowrogie szemrania. Ktoś narzeka, że się im wysługuje, że znowu dogadgam Wing Commanderom... Co to może znaczyć?

Wiatr szarpie żaglem i fale przewalają

się przez dinghy. Patrzę na Wielką Niedźwiedzicę, która jeździ po niebie jak na karuzeli. Naciagam sznury, pochylam się w tył i usiłuję uspokoić rozbiegane gwiazdy. Przychodzi mi na myśl, że powinien ich ktoś pilnować, bo mogą zasnąć: jestem taki zmęczony... I nagle domyślam się, że gwiazd pilnuje Molly, ta, co usługuje w messie oficerskiej na naszej stacji. No, dobrze, tylko niech uważa, bo może przyjąć zmianę kursu.

— Jak to zmiana? — dziwi się Molly. — Przecież każdy kurs prowadzi do bazy...

— Nie podobnego — mówię. — Wcale nie każdy...

Ale ona mi przerywa: — Panie poruczniku, ukradli Wielką Niedźwiedzicę!

— Już wiem czyja to robota — myślę. — Na pewno przemysłnicy. Ale ja ją znajdę.

— Kiedy cała policja mówi, że Wielkiej Niedźwiedzi nie ma — upiera się Molly. — Ktoś ją wymyślił, ale naprawdę to jej nie ma.

Wiem, że to pomyłka. Trzeba tylko sumiennie poszukać. Schowali ją na pewno w jakiejś książce, którą dawno czytałem. Nie pamiętam nazwiska autora, ale wiem, że i on był przemysłnikiem. I wiem, że to było wydawnictwo księgarń „Rój“ w Warszawie.

— „Rój“ się spalił! — krzyczy Molly. — Nie wie pan, że „Rój“ się spalił?

Wzruszam ramionami:

— No, to co z tego? — i zaczynam szukać po ciemku.

Szukałem jednak na próżno. Przykryły ją chmury. Noc stała się atramentowo czarna.

Ocknąłem się gdy już szarzało. Wiatr zmienił kierunek na północno-wschodni. To mogło przedłużyć moją podróż, ale — cóż mi pozostawało innego, jak żeglować dalej?

Zaczyna się rozwidniać. Spoglądam na północ, i gdy fala unosi mnie w górę — widzę łód! Łód, bez żadnej wątpliwości! Białe, kredowe urwisko skalne. Odległość jest jeszcze bardzo duża: ale nie zmniejsza to mojej radości. Żeby mi tylko starczyło sił...

Morze jest burzliwe; obawiam się, że fala wywróci mnie lada chwila. Woda przelewa się przez dinghy. Nie wyczerpuje jej, bo każdy ruch sprawia mi ból. Jestem bardzo osłabiony. Połykam pastylki na podtrzymanie energii. Skutek tych pastylek jest naprawdę nadzwyczajny: siły pomału wracają, a ból ustaje; nawet pragnienie staje się mniej dotkliwe. Wiatr znosi mnie w prawo. Umocowuję kaprut kotwiczny przy lewej burcie. W ten sposób — jeśli nawet nie płynę ku brzegowi, to przynajmniej stale mam go przed oczyma.

Mijają godziny i wciąż widzę ten brzeg — wciąż jednak odległy... Próbuję wiosłować masztem, ale to próżna strata sił. Postanawiam więc zdać się na wiatr i — czekać: za dzień czy za dwa dopłynę wreszcie.

Nikt nie wie: nikt nie może wiedzieć, jak długo trwa dzień, jeśli nie spędzi go na morzu w dinghy, kołysany, huśtany, zalewany przez fale; kto nie przeżył tych godzin samotnych, ze wzrokiem utkwionym w łód; kto nie cierpiał wskutek pragnienia...

Boję się zamknąć oczy, boję się zasnąć, obawiam się zapadnięcia ciemności — aby ten brzeg, biały kredowy brzeg, nie rozwiązał się, nie zginął. A słońce skłania się ku zachodowi: jest na lewo ode mnie. Za godzinę, może za półtorej godziny zacznie się zmierzchać. Spoglądam ku lekko zamglonej tarczy słonecznej. Wzrok mam zmęczony i niepewny: wydaje mi się, że zamiast słońca błyszczą dwie złote gwiazdy. Nie — przecież nie mógłbym widzieć gwiazd o tej porze i w tej stronie. A jednak coś tam błyszczą na niebie... Rozplywa się w jasnym błękitcie i błyszczy znowu. Coraz wyraźniej, coraz wyżej...

Serce zaczyna przyspieszać. Oddycham z trudem. Nie chcę wierzyć na próżno; nie chcę ulec złudzeniu. Ale połykając przedmioty są coraz wyraźniejsze, coraz większe, a pod nimi ukazuje się nad powierzchnią morza — dym!...

Nie mam już wątpliwości; to konwój: statki, chronione przez balony na uwięzi. Idą wprost na mnie. Widzę już maszty i kominy. Obliczam, że muszę się znaleźć między pierwszym a drugim. Przecież muszą mnie zauważyć z pokładów gdy będę między nimi. Wywijam nad głową żaglem. Krzyczę.

I oto lewy zadymia mocniej i pochylił się w lewo, pozostawiając za sobą biały ogon piany.

— Boże! Dostrzegli mnie!

Mały statek handlowy urasta w mych oczach do rozmiarów wielkiego gmachu. Gmachu spełnionych marzeń i nadziei. Już widzę marynarzy stoczonych na pokładzie. Widzę jak jeden z nich rozkręca nad głową linę, by mi ją rzucić.

Lina pada wprost na mnie. Chwyтам ją rękami i zębami.

Szarpnięcie. Uderzam o burtę statku. Dinghy ucieka spode mnie. Ciągną mnie w górę. Słyszę głosy, widzę twarze, oczy, uśmiechy. Ludzie! dokoła mnie!

Kilka par rąk ściąga ze mnie mokre ubranie. Ktoś wlewa mi rum do ust. Unoszą mnie w górę i — Jezus, Maria! — pode mną w dół przelewają się zielone, grzywiaste fale!...

Ze zwierzęcym strachem, kurczowo objąłem za szyję najbliższej stojącego marynarza.

— Nie bój się — uspokaja mnie rosty chłopak. — Tu jesteś bezpieczny.

(Dokończenie na str. 8-cj)

LITWO! CZYŻNIE MOJA...

W parę tygodni po katastrofie wrześniowej do mego pokoju w Ambasadzie w Paryżu wszedł jeden z moich warszawskich znajomych, ale przyjaceli, ani nawet bliskich współpracę, z kawiaru. Był pisarz, który w dążeniu do życiowego sukcesu zagubił lepsze ambicje i stał się tak zwany zwawca życia, to znaczy pobłażliwym obserwatorem ludzkiej małości, kompromisów i walki o powodzenie za wszelką cenę.

Nie powiem, abym od tego właśnie człowieka oczekiwał, że da mi on odczuć istotę tego, co było mi oszczędzone przeżyć, można by powiedzieć, że właśnie ten człowiek wydawał mi się niezdolny, aby go cokolwiek przemieniło w tych dniach, które tuju Polakom powiadały, że nie znali ani swego kraju, ani samych siebie.

I oto od pierwszych spotkań z nim zamienionych zrozumiałem, że pomyliłem się zupełnie. Ten człowiek zwykle sztuczny, pokrywający ustawiczną ironią ukryte pretensje do świata i siebie, zawsze zajęty awanturą bliźnich — uderzył mnie jakąś skupioną serdecznością, prawie radością głęboką, przebywającą przez każde słowo, maskowaną, ale tym lepszą tkliwość do wszystkich, o których mówił. W pewnej chwili rozmowy, którą parę miesięcy temu uważały na pewno za szczyt sentymentalizmu i naiwności, powiedział mi że Warszawy, ludzie, które ratować się od rozpacz, rzucili się do księgarń i to specjalnie po poezję. Ja tego dnia wziąłem się do „Pana Tadeusza” i przeczytałem go jednym tchem. Nie ma pan pojęcia ile mi to dało! Cóż to za cudowna książka! I wargi zaczęły mu drgać, a po chwili odwrócił się, abym nie widział, że się rozpłakał.

W późniejszym życiu Mickiewicza, a wszyscy rozumiemy chyba, że wielkość takich ludzi, jak Mickiewicz polega na tym, że żyją po śmierci i przechodzą coraz inne etapy życia koleje, otóż w dziełach tych przemian, jakim Mickiewicz ulega w naszej myśli i uczuciu, pociecha głęboka, jakiej doznał od niego naród polski, dotknięty niewolą i męczarnictwem, będzie na pewno jedną z kart najpiękniejszych i najbardziej ważnych. Bo oczywiście mój znajomy dziennikarz nie był żadnym wyjątkiem i osobliwością. Wystarczy przeczytać wiersze wszystkich wybitniejszych poetów emigracji i to właśnie najlepsze — aby zdać sobie sprawę, że wszyscy oni znaleźli się w kręgu Mickiewiczowskiego czaru, że odnawiając dziejących się czas, nasze uczucia, miarę dziejących się rzeczy, nie mniejszemu niż sto lat przed nimi tak zwani mniejsi romantycy, wpiływowi zarówno moralnemu jak też sugestyjnej jego formy, która sama się swą genialną prostotą narzucała do wypowiedzenia tych uczuć tak boleśnych, ale tak nareszcie prostych. Taki Baliński w swej „Wielkiej podróży” jest po prostu pełnym uroku stylizatorem nie tylko motywów mickiewiczowskich, ale nawet jego pejzaży, z którym go wiąże nie tylko rodzima, jakże romantyczne dziedzictwo po przadziadku Odyczu i prababce Ludwice Śniadeckiej. Cały ten tom jest, jeśli tak można bardzo wymyślnie powiedzieć, jakby przełożoną na wiersze muzyką Moniuszki do „Dziadów” Mickiewicza; różne dobre wpływy dadzą się tu odnaleźć, Słowackiego bardzo silny także, ale zapach, który ta poezja rozciąga, jest to przede wszystkim zapach ziół nad brzegami Świżwi i drzew kwitnących w tutejszym parku; jednym z blasków uroku, którym ta wiersze nas przenika, jest blask wieczornej nocy, pod którą Mickiewicz górną i chmurną siedzi w zaplamiłej czarzarze w swoim paryskim mieszkaniu.

Baliński — to może przykład najmowniejszy — ale przysłał amatorzy wytwórcy znajdują gdzieś niekiedy dla siebie robotę, tropiąc mickiewiczowskie motywy, w mienności, strofę mickiewiczowską i wreszcie, co najważniejsze, jego wpływ duchowy w poetach tak najpierwszych jak i słabszego lotu, w emigracyjnych wierszach Wierzyńskiego, Słonimskiego, Rostworowskiego, Hemara i wśród poetów-żołnierzy Drugiego Korpusu. Ten wpływ duchowy, najsilniejszy u właśnie najsilniejszych moralnie poetów — wyraził się w mniej oryginalnych, raczej powierzchownie, tylko formalnie, nie oba jego zarówno objawy świadczą, jak bardzo Mickiewicz stał się dla literatury polskiej na emigracji pociechą, ucieczką i oparciem.

I w tym wyspise oddał tylko odruch całego narodu, który przypominał tylko to, co odczuł każdy czytający Polak, który po klęsce wrześniowej szukał w książce polskiej pociechy i rozpaczy, powiernika swoich też i swoich modlitw samotnych. I jak w życiu osobistym, pod oczyszczającym ogniem strasznego doświadczenia, wszyscy odnajdywali naraz nieprzezwalany sens zapominający a jedynie ważnych słów, jak: ojczyzna, bracia, poświęcenie, bohaterstwo — tak umysł i wyobraźnia, wstrząśnięta narodowym nieszczęściem, wybrała instynktownie i niezawodnie ze sztuki polskiej, i to jest w niej najbardziej ludzkie, najbardziej polskie i znajdowały to przede wszystkim w Mickiewiczu, przede wszystkim w „Panu Tadeuszu”.

Mickiewicz bowiem jest w naszej literaturze tym właśnie, czym w życiu są te proste

Mickiewicz wczoraj i dziś

słowa i jeżeli jego dzieło, sto lat temu tak rewolucyjne, zostało od razu dobrane całego narodu — to stało się to dlatego, że Mickiewicz trafił od razu do tego instynktu zbiorowego, do tej najgłębszej w ludzkiej ludzkości i najgłębszej w Polakach pokłóści. Naród polski czytał na kilka wieków przed Mickiewiczem, miał poetów doskonałych, jak Kochanowski i Krasiński, ale Mickiewicz dopiero sprawił, że literatura, poezja stała się dla Polaków rzeczą ważną, rzeczą po prostu najpierwszej wagi, bez której żyć nie można. „Pan Tadeusz” — powiedział na stulecie „Pan Tadeusz” w Sboronie transkryptor „Tristana i Izolda”, Bedier; wydać by się mogło oczywiście, że pierwsza emigracja dlatego odczuła to poezję, bo tęskniła do kraju i że to samo powtórzyło się teraz. Ale przecież „Pan Tadeusz” stał się Biblią Polską nie tylko dla Emigracji, ale i w Polsce samej pod zaborami i teraz jest nie tylko powiernikiem uchodźców i podciera też tych, co są w kraju i którzy tak strasznie męczeni mogą słuchać przecie szumu brzoź i patrzeć na żółte od jaskrów łąki.

Powiedzieć, że „Pan Tadeusz” jest epopeją narodową, znaczy to użyć hieroglify fachurowego, który niewiele mówi. Trzeba by powiedzieć raczej, że jest on literackim symbolem Polski; zarazem jej pejzażu, historii, ludzi, obyczajów, że będzie największym arcydziełem literatury polskiej jest czynsz bez porównania w niej ważniejszym niż „Faust”, w literaturze niemieckiej a „Hamlet” w angielskiej — bo jest zarazem faktem społecznym, częścią nieodłączną życia narodu, jedną z podstaw jego duchowego istnienia i odrębności.

Czywiście, że powietrzem duchowym „Pana Tadeusza” jest tęsknota, i Słowicki pięknie to wyraził, mówiąc: „Poema na pozór wesołe, ale czasem z najweselejszych na pozór miejsc smutek jakiś dziwny unajmuje człowieka”. Tylko, że ta tęsknota jest to stan duszy, który nie wynika z oddalenia w przestrzeni od przedmiotu miłości — ale z zaporu między światem platońskim a nami, ta tęsknota to jest po prostu stały stan duchowy prawdziwych twórców i można by przypuścić, że Mickiewicz, siedząc w Wilnie tak samo by do niego tęsknił, jak wtedy, kiedy był w Paryżu. Nie tęsknota też do Polski, ale jej wspaniałość, zjawiającego się na deusie — tak wszystko, co mówił przystawało do genialnych, a na pozór sprzecznych myśli Piłsudskiego.

To jeszcze jeden dowód wiecznego, pośmiertnego życia Mickiewicza i tego czym jest on dla naszego narodu.

Mickiewicz jest na pewno poetą narodu polskiego w sensie, w jakim żaden nigdzie poeta nie stał się dla swolici, po prostu jednym Dantem, z którym najgłuszniej można by Mickiewicza porównać.

Każdemu z nas przychodziło na myśl pytanie, czy może kiedyś zjawić się w Polsce poeta większy od Mickiewicza i na pewno żaden z nas nie pomyślał, że to jest możliwe.

Wspomniał by geniuszem w pewnym sensie jednym na świecie, jego wspaniały intelektualizm, wyrażający się tak plastycznie, tak teatralnie, wchłonięty przez niego całej kultury zachodniej i wyrażenie jej tak dramatycznie, są fenomenem w literaturze powszechnej. Norwid, gdyby był Francuzem, obniżyłby rangę poetycką Mallarmego i Paul Valery, których musiano by unać za jego epigonów. „Samuel Zborowski” Słowackiego jest arcydziełem bez porównania — gdziekolwiek jest szczytem poezji esoterycznej. A miłość, którą mi, wiersze nas przenika, jest blask wieczornej nocy, pod którą Mickiewicz górną i chmurną siedzi w zaplamiłej czarzarze w swoim paryskim mieszkaniu.

Wbrew krótko a raczej nie widziaczemu krytykom „Pan Tadeusz” nazywany poematem realistycznym, mimo całego swego realizmu, mimo bez liku szczegółów z codziennego życia i nie tylko z astronomii, ale i z gastro-nomii, jest poematem symbolicznym dlatego, że owa moc szczegółów nie gubi się w jakimś chaosie, ale składa na pełny obraz zarazem ziemi polskiej, duszy polskiej i życia polskiego i dlatego, że poezja Mickiewicza, polskiego i dlatego, że nigdy przyzwymani w sferę platońską i za każdym pozornie białym zdarzeniem otwiera horyzont głębokiego sensu i wielkości.

Każdy rozumie dobrze, iż to, że mazur i polonez są rytмами polskimi nie jest to przypadek, ale że odpowiada to najgłębszym prawdom i prawom polskiego temperamentu i uczucia; to samo w pewnym sensie jest i wierszem Mickiewicza. Nie chodzi już o to, co ten wiersz wyraża, ale jak brzmi, jaka jest jego kadencja, jaka muzyka.

Słowacki pisał wiersze, które są równie znaczące, równie muzyki pełne jak wiersze Mickiewicza, a przecież w muzyce, bo tak powiedzieć trzeba, mickiewiczowskiej jest jeszcze coś innego, coś co czyni właśnie „Pana Tadeusza” symbolem narodu polskiego: jakieś rytmy, według którego każdy z Polaków czuje

i dźwięka. I dlatego właśnie blahe zdarzenia spoliowskie podłożone pod tę boską muzykę stały się wielką pieśnią narodu polskiego.

Mickiewicz naprawdę, jak Gustaw w Konradzie, przemienił się w swym życiu i twórczości z kochanka Maryli w kochanka Ojczyzny. Kochał on Polskę naprawdę, tak jak się kocha droga kobietę i dlatego ta miłość była tak żywa, tak namiętna i mogła tak przeniknąć naród.

Mimo wszystko, co powiedziano już o znaczeniu poezji Mickiewicza dla historii Polski, dla walki o niepodległość, nie zdajemy sobie chyba dosyć sprawy, ile naród polski, z którego duszy, z którego cierpienia i cnoty urodził się Mickiewicz, zawiądzającą temu nawzajem: nie myślimy, że owa zapamiętałość polskiego patriotyzmu, jego religijność, wiara nasza w najgłębszych chwilach, kiedy zdawało by się już nie ma nadziei — jest to właśnie duch Mickiewicza. To Mickiewicz w znaczącej mierze zamieniwszy celę bazylikańską w Wilnie w przesławny międzyplanetarny między niebem a ziemią uczynił nas narodem, który w każdym wielkim zdarzeniu historii radzi się instynktowną wyższą moralnością, patrzy daleko poza doraźne korzyści.

Wspomniał zrozumiał genialnie, że cały naród polski jest pod władzą Mickiewicza i dobrym prawem wielkiego poety rzucił tej władzy wyzwanie. Ale nie była to walka z Mickiewiczem samym, tylko z jedną z form jego pośmiertnego życia, z jednym z jego zniekształceń w duszy polskiej, z Mickiewiczem brązowym, z tym błędnym pojęciem narodu o nim, które było tym wobec prawdziwego, czym jest dewocja wobec prawdziwej wiary. Toteż Wspomniał nie przeciwstawił Mickiewiczowi żadnego innego poety, żadnej innej myśli, tylko właśnie owego prawdziwego Mickiewicza czyli Konrada, który w „Wyzwoleniu” myśli i chce walczyć, tak jak kiedyś myślał i chciał walczyć Mickiewicz.

Gdy w parę tygodni po śmierci Piłsudskiego wystawiono „Wyzwolenie” w teatrze Polskim, Boy Zelenki, który wtedy żył naprawdę Mickiewiczem, napisał, że Konrad Wypianowski robił wrażenie ducha Piłsudskiego, zjawiającego się na deusie — tak wszystko, co mówił przystawało do genialnych, a na pozór sprzecznych myśli Piłsudskiego.

To jeszcze jeden dowód wiecznego, pośmiertnego życia Mickiewicza i tego czym jest on dla naszego narodu.

Mickiewicz jest na pewno poetą narodu polskiego w sensie, w jakim żaden nigdzie poeta nie stał się dla swolici, po prostu jednym Dantem, z którym najgłuszniej można by Mickiewicza porównać.

Prof. STANISŁAW KOSCIALKOWSKI

125 LAT „ODY DO MŁODOŚCI”

Rocznice jubileuszową, bo 125-tą, przeżywa w roku bieżącym mickiewiczowska „Oda do młodości”. W r. 1820, w Kownie, wybuchła ona żarem z piersi rozpoczynającego swój wielki kryzys wewnętrzny, znużonego nauczaniem, „twardych iłów zmudzonych”, skłóconego za wileńskimi kolegami, młodego Mickiewicza. Z biegiem czasu miała się ona stać jakby płomiennym manifestem poety poczynającego obejmować rząd nad duszami.

Chlebem macierzystym „Ody”, że użyjemy tu znanego określenia prof. Chrzanowskiego, był bujny porus młodości, związany ze współczesną Mickiewiczowi polską rzeczywistością, ujętą w wyczuwalne ramy żywego, choć nie wyrażonego w słowach, patriotyzmu. Siegnąć w przyszłość pionowym ramieniem solidarnego wysiłku, do którego zdolna jest jedynie młodość, pełnać bryłę świata na nowe tory, na nowych zgrzabach oprzeć życie, by po „noce głuchej” zająśnienie mogła promienna „Jutrzenka swobody”, a za nią wreszcie „zbawienia słońce” — oto zasadnicze motywy społecznego „Ody”, w której — jak niegdyś powiadała Konopnicka — „jest życie same”.

Dużo pisało o powinowactwie „Ody” z niektórymi pieśniami niemieckiej studenckiej młodzieży i utworami rodzącej się w Niemczech romantycznej liryki. Już samo motto „Und die alten Formen stürzen ein” wzięte jest z Schillera, a niektóre zwroty z schillerowskich utworów „Die Ideale”, „An die Freunde” — jak „Hoehrer stets und hoehrer in das Ideale Reich” lub „Arm in Arme”, żywo przypominają wzlot „nad poziomą” lub hasło „Hej ramie do ramienia!” tak dobrze nam znane z „Ody”.

Dużo mówi się o wpływach liryki angielskiej, choć i to w tym wypadku zbieżność wyrażonych uczuć i użyciu wywodów bywa niekiedy uderzająca. Ważny np. słowa „higher, higher will we climb” z utworu Montgomery’ego „Aspirations of Youth”. Jednak owe pokrewieństwa i związki uczuć bądź

Bo to, co Mickiewicz uczynił sam jeden, gdzie indziej czynili całe wieki literatury i cała, dopiero razem wzięta jej historia, — wyraził on zarazem życie realne narodu i stworzył, czy zapisał jego mitologię.

„Pan Tadeusz” to jest na pewno liłada polska. Ale jeszcze nie wszyscy rozumiemy, że polska mitologia to nie są żadne Świątobliwy i Darzbogi, tylko dzieje Konrada mickiewiczowskiego, jego przemiany w literaturze i w nas samych. I ta mitologia jest tak samo dla nas ważna jak życie Olimpu dla Greków.

Mickiewicz zjawił się w chwili, która jest jednym z paradoksów historii, w chwili, gdy jednocześnie upadało państwo polskie i formowała się dusza polska, z jowialnej i domowej duszy mazowieckiej, stając się duszą Rzeczypospolitej Polskiej, ukształtowaną przez wspólne życie wszystkich jej narodów; namiętność, żarliwość, mistycyzm Mickiewicza jest to właśnie to, co owe ziemie ruskie i litewskie dały duszy polskiej.

Mickiewicz nie był nigdy w Warszawie ani w Krakowie i tylko przypadkiem i na krótko w Wielkopolsce. Jego stolicą było Wilno i symbolem całej Ojczyzny polskiej była dla niego Litwa. Kto myśli, że można Polakę wschodnią odcierać od całosci, nie kalendarz smiertelnie nie tylko jej ciada, ale i jej duszy — niech o tym też pomyśli.

Tysiące dobrych racji polityki, ekonomii, etnografii broni naszych praw do tych ziem. Ale to co ich broni w naszej duszy, naszym instynkcie, a to przecież jest najważniejsze — jest to właśnie Mickiewicz.

Jak nie może on przestać być największym poetą polskim, jak nie może zjawić się nigdy nikt kto będzie od niego większy — tak też nie może skończyć się jego życie po śmierci, że żaden człowiek za życia w piekle nie był, piekło bowiem jest dostępne tylko ludzkiemu duszom, a nie nogom. Kto wie, czy zainteresowawszy mego piekarka tym tematem, nie musiałbym mu tłumaczyć, że piekło jest bardzo starym wynalazkiem mistycznych wizjonerów i mistycznych moralistów, i to — u wszystkich niemal narodów starożytności. Przyszło ono następnie do systemu eschatologicznego wiary średniowiecza, którego poetyckim ukoronowaniem jest właśnie „Boska Komedia”. I że we wszystkich obrazach piekła, jakie znamy z literatury i sztuk plastycznych — jest ono przedstawione jako coś gorszego od ziemi, jako miejsce wieczystej kary dla tych, co tu, na ziemi, srodoż grzeszyli, a sąd niebieski uznać ich za niegodnych Czyścia. Musiałbym też nadmienić, że Dante, opierając się na niektórych starożytnych i średniowiecznych wizjach, stworzył własne piekło, załudnił je według własnego upodobania, a opisał je tak plastycznie, iż potrafił wywołać wrażenie, jakoby tam n a p r a w d e był.

A zatem jest to gra umówiona między nim a nami. Zawsze dajemy potem pewien

Stary człowiek, który od kilku lat przywozi mi do domu (w Riverdale, stan New York), mógł powsejden chleb, urodził się na Sycylii. Jest to człowiek pełen wdzięku. Mówi czystą, żadnym dialektem nie skażoną woszczyną i wie o tym. Ze skromną satysfakcją powtarza moje błędy w swym ojczystym języku. Przy różnych sposobnościach wytrąca z rękawa spiski i maksymy, z których niejedna pamięta jeszcze czas, gdy po Sycylii błąkali się greccy bogowie. Jakkolwiek wiele lat życia spędził w Ameryce na wypiekaniu, czy rozwożeniu chleba, świadom jest tego, że nie samym chlebem człowiek żyje. Świadczy o tym chociażby jego zainteresowanie moją pracą. Pewnego dnia zapisał mnie, czy znam „Boską Komedię”. A gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, zadał mi pytanie: „na które nie tylko we włoskim języku trudno mi odpowiedzieć: „Co pan myśli, czy Dante naprawdę był w piekle”?

Myślę, że tym kłopotliwym pytaniem dotknął on samej istoty poetyckiego myślenia, bez względu na to, czy zostało mu ono narzucone w tercynach, w heksametrach, czy w prozie. O coż mu chodziło, gdy akcentował słowo: n a p r a w d e ? Zapewne uległ on przy czytaniu „Infema” tak silnej sugestii, iż trudno uwierzyć, aby ktoś, kto własnymi nogami nie chodził po piekle i własnymi oczyma nie oglądał jego okropności, mógł tak szczegółowo opisać wygląd piekła, jego strukturę, urządzenia, mieszkańców.

Jeszcze parę lat temu, a w każdym razie przed obecną wojną, może było by mi łatwiej znaleźć zadowalającą odpowiedź dla mego Sycylijczyka. Może zaryzykowałbym twierdzenie, że żaden człowiek za życia w piekle nie był, piekło bowiem jest dostępne tylko ludzkiemu duszom, a nie nogom. Kto wie, czy zainteresowawszy mego piekarka tym tematem, nie musiałbym mu tłumaczyć, że piekło jest bardzo starym wynalazkiem mistycznych wizjonerów i mistycznych moralistów, i to — u wszystkich niemal narodów starożytności. Przyszło ono następnie do systemu eschatologicznego wiary średniowiecza, którego poetyckim ukoronowaniem jest właśnie „Boska Komedia”. I że we wszystkich obrazach piekła, jakie znamy z literatury i sztuk plastycznych — jest ono przedstawione jako coś gorszego od ziemi, jako miejsce wieczystej kary dla tych, co tu, na ziemi, srodoż grzeszyli, a sąd niebieski uznać ich za niegodnych Czyścia. Musiałbym też nadmienić, że Dante, opierając się na niektórych starożytnych i średniowiecznych wizjach, stworzył własne piekło, załudnił je według własnego upodobania, a opisał je tak plastycznie, iż potrafił wywołać wrażenie, jakoby tam n a p r a w d e był.

A zatem jest to gra umówiona między nim a nami. Zawsze dajemy potem pewien

Stary człowiek, który od kilku lat przywozi mi do domu (w Riverdale, stan New York), mógł powsejden chleb, urodził się na Sycylii. Jest to człowiek pełen wdzięku. Mówi czystą, żadnym dialektem nie skażoną woszczyną i wie o tym. Ze skromną satysfakcją powtarza moje błędy w swym ojczystym języku. Przy różnych sposobnościach wytrąca z rękawa spiski i maksymy, z których niejedna pamięta jeszcze czas, gdy po Sycylii błąkali się greccy bogowie. Jakkolwiek wiele lat życia spędził w Ameryce na wypiekaniu, czy rozwożeniu chleba, świadom jest tego, że nie samym chlebem człowiek żyje. Świadczy o tym chociażby jego zainteresowanie moją pracą. Pewnego dnia zapisał mnie, czy znam „Boską Komedię”. A gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, zadał mi pytanie: „na które nie tylko we włoskim języku trudno mi odpowiedzieć: „Co pan myśli, czy Dante naprawdę był w piekle”?

Myślę, że tym kłopotliwym pytaniem dotknął on samej istoty poetyckiego myślenia, bez względu na to, czy zostało mu ono narzucone w tercynach, w heksametrach, czy w prozie. O coż mu chodziło, gdy akcentował słowo: n a p r a w d e ? Zapewne uległ on przy czytaniu „Infema” tak silnej sugestii, iż trudno uwierzyć, aby ktoś, kto własnymi nogami nie chodził po piekle i własnymi oczyma nie oglądał jego okropności, mógł tak szczegółowo opisać wygląd piekła, jego strukturę, urządzenia, mieszkańców.

Jeszcze parę lat temu, a w każdym razie przed obecną wojną, może było by mi łatwiej znaleźć zadowalającą odpowiedź dla mego Sycylijczyka. Może zaryzykowałbym twierdzenie, że żaden człowiek za życia w piekle nie był, piekło bowiem jest dostępne tylko ludzkiemu duszom, a nie nogom. Kto wie, czy zainteresowawszy mego piekarka tym tematem, nie musiałbym mu tłumaczyć, że piekło jest bardzo starym wynalazkiem mistycznych wizjonerów i mistycznych moralistów, i to — u wszystkich niemal narodów starożytności. Przyszło ono następnie do systemu eschatologicznego wiary średniowiecza, którego poetyckim ukoronowaniem jest właśnie „Boska Komedia”. I że we wszystkich obrazach piekła, jakie znamy z literatury i sztuk plastycznych — jest ono przedstawione jako coś gorszego od ziemi, jako miejsce wieczystej kary dla tych, co tu, na ziemi, srodoż grzeszyli, a sąd niebieski uznać ich za niegodnych Czyścia. Musiałbym też nadmienić, że Dante, opierając się na niektórych starożytnych i średniowiecznych wizjach, stworzył własne piekło, załudnił je według własnego upodobania, a opisał je tak plastycznie, iż potrafił wywołać wrażenie, jakoby tam n a p r a w d e był.

A zatem jest to gra umówiona między nim a nami. Zawsze dajemy potem pewien

Stary człowiek, który od kilku lat przywozi mi do domu (w Riverdale, stan New York), mógł powsejden chleb, urodził się na Sycylii. Jest to człowiek pełen wdzięku. Mówi czystą, żadnym dialektem nie skażoną woszczyną i wie o tym. Ze skromną satysfakcją powtarza moje błędy w swym ojczystym języku. Przy różnych sposobnościach wytrąca z rękawa spiski i maksymy, z których niejedna pamięta jeszcze czas, gdy po Sycylii błąkali się greccy bogowie. Jakkolwiek wiele lat życia spędził w Ameryce na wypiekaniu, czy rozwożeniu chleba, świadom jest tego, że nie samym chlebem człowiek żyje. Świadczy o tym chociażby jego zainteresowanie moją pracą. Pewnego dnia zapisał mnie, czy znam „Boską Komedię”. A gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, zadał mi pytanie: „na które nie tylko we włoskim języku trudno mi odpowiedzieć: „Co pan myśli, czy Dante naprawdę był w piekle”?

Pochwała fikcji poetyckiej

(Z powodu 70-letcia Tomassa Manna)

kredyt na to, aby rzeczy zmyślone opowiadali w tonie rzeczywistych wydarzeń. Może bym jeszcze Sycylijczykowi napomknął coś niecoś o halucynacjach, o stanach psychicznych na pograniczu snu i jawy — z całym uzasadnieniem dla jego wiary.

W szóstym wszakże roku tej wojny, musiałbym gruntownie zrewidować swój pogląd na to, co jest piekłem i gdzie ono się znajduje. Piekło dantejskie, jak wiadomo, znajduje się głęboko pod ziemią, zamaskowaną ową „silva obscura”, mimo to wszystkie jego okropności wydają się sielanką, co prawda koszmarna, w porównaniu z tym, co obecnie dzieje się na powierzchni ziemi, mówiąc ściślej: — na powierzchni ziemi mojej rodzinnej.

Do swego Inferna dostał się Dante wyjątkowo i dzięki wysokiej protekcji Wirgiliusa. Bawił tam zresztą niedugo, po czym zwiędział jeszcze Czystaś i Niebo. Do współczesnego piekła na ziemi nie trzeba żadnej protekcji. Kilka milionów ludzi, niekoniecznie obdarzonych talentem poetyckim, pochłonięto już to piekło na zawsze, a zaledwie paru szczęśliwym wyjątkom udało się z niego uciec.

Znam osobście człowieka, który był w piekle. A co tam widział, opisał z talentem w książce pt. „Story of a Secret State”. Nazywa się ten człowiek: Jan Karski. Był oficerem polskiej armii i pełnił służbę kuriera w polskim ruchu podziemnym w latach 1939-1942. Przewodnikiem zaś jego po jednym z wielu kręgów piekła na polskiej ziemi, tzn. po jednym z tzw. obozów śmierci, za niemieckiej okupacji, nie był żaden poeta starożytny, tylko nowoczesny i przekupiony milicjant estofski, należący do ekipy wartowników tego obozu. Dzięki niemu, Karski, również przebrany w mundur estońskiego milicjanta, mógł być nocnym świadkiem tzw. eksterminacji kilku tysięcy Żydów polskich. Był świadkiem w tym sensie, w jakim grecki wyraz: m a r t y r o s znaczy: świadek. Widział na własne oczy, jak nieliczni ludzie uzbierani łałowali tysiące ludzi bezbronnymi, nagich, zgłodniałych i oszałałych do wagonów kolejowych, gdzie ci ludzie: megoż, kobiety i dzieci, ginęli, dusząc się, jak muchy. Świadek dwóch „dantejskich” scen nie spotkał w piekle ani diabłów, ani straconych anioków. Czynności dreczydełskie wykonywali tam sami ludzie, jak się rzekło — uzbierani. Bez żadnej furii, lecz z zimną krwią, spokojnie, fachowo, jak mechanicy, ludzie ci znecali się nad ludźmi nagimi i bezbronnymi. Po 120 zganił ich do wagonów, mogących normalnie pomieścić najwyżej 50 ludzi, ci dół, a gdy ciąż układały się do dobieństoś śledziła w beczce, ludzie uzbierani zalewali pełne wagony gorącym wapnem. Niewzłąpliwie ludzi nadzy i bezbronni byli potępieni jak mieszkawcy dantejskiego Inferno,

ale potępił ich i skazał na długie konanie w męczarniach nie Bóg, lecz pewien człowiek, którego naukę głosił więcej niż czterech ewangelistów i więcej niż dwunastu apostołów. Książka Karskiego, w której o tym czytamy, nie jest wytworem ani jego wyobraźni, ani wyobraźni innych ludzi. Jest ona klasycznym zaprzeczeniem tego, co w krajach anglosaskich nazywa się fikcją. Nie jest też sprzecznością obojętnego i żelaznym listem o patrzonego turysty po piekle. Znajdujemy w niej bowiem opisy tortur, które sam autor wycierpiał na własnym ciecie i na własnej duszy. Przeczył on więc n a p r a w d e wszystkie okropności, które opisał, naprawdę, w tym znaczeniu, które zapewne miał na myśli mój sycylijski piekacz. ***

Takich książek, choć może z mniejszym napisanych talentem, mamy dziś bardzo wiele. Należą one do gatunku literackiego, zwanego reportażem. Gatunek ten osiągnął w ostatnich latach szczyty doskonałości, zarówno dzięki odpowiedniemu trenningowi specjalistów, rozporządzających ulepszonej metodami obserwacji, jak i dzięki niezmiernemu dziś bogactwu nieprawdopodobnych a jednak prawdziwych wydarzeń, przekraczających niekiedy granice ludzkiej wyobraźni. „Góry Czarodziejskiej” i „Bucina” — to dwa z nich. Wzrost gatunku poetyckiej formy, której Tomasz Mann jest mistrzem. Tym bardziej, że twórczość jego przypada na okres, w którym granice między myśleniem poetyckim a reportażem zaczynają się jakoby zacierać.

Tomasz Mann wniernie kontynuuje w naszych czasach dobrą tradycję europejskiej sztuki narracyjnej, którą rozpoczęli Baudello, Beccaccio, Cervantes i Madame de Lafayette. Należą oni do tych nielicznych pisarzy współczesnych, którzy, jak niegdyś Dante Alighieri, wyrażają w swych utworach jednocześnie to, co w liturgii katolickiej nazywa się „visibilia et invisibilia”. Samym artystyzmem swej narracji trafił on czytelnika sturtoruowanego „prawdziwością” życia na naszej planecie — przeniesie w równie prawdziwy, choć zmyślny świat harmonii. Zaś sztuka przenoszenia ludzi z jednego świata do innego jest tylko przyrządkiem bogów, oraz wielkich artystów. Takich, którzy n a p r a w d e byli we wnętrzu ludzkich dusz.

A tam jest piekło i czyściec i niebo.

KRONIKA POLSKA

— Ukazał się nowy, podwójny numer *Ekonomisty Polskiego* (11 i 12), wydawanego przez Stowarzyszenie Ekonomistów Polskich w Złoczonym Królestwie. Numer przynosi 28 stron tekstu, zawierając m. in. następujące artykuły: dr. Zbigniew Siemiński: Międzynarodowy system pieniężny; dr. Adam Rose — Wytęczenie polskiej polityki gospodarczej; dr. Stanisław Ożga — Inwestycje publiczne jako instrument polityki interwencyjnej państwa; dr. Leon Barański — Rozwój przemysłu w planie gospodarczym Polski; dr. St. Florencji — Poland's Foreign Trade during 1918-1939. Obok tego numer przynosi obszerny dział zadaniami bieżącymi, recenzji i informacji gospodarczych.

— Józef Lobodowski, znany poeta, przebywający w Madrycie, napisał zarys literatury polskiej, który ma ukazać się drukiem w Hiszpanii i w południowej Ameryce.

— Styczniowy numer miesięcznika *Branch Library Book News* w katalogu książek zalecanych dla młodzieży na r. 1945 zamieszcza m. in. jako dzieła polecane, biografie Marii Curie, Sienkiewicza, Witk. „Fire and Sword”, Wierzyńskiego „The Forgotten Battlefield”, K. E. Philbrook „Land of the Polish People”, Virginia Ross „Polish Profile”, zalecając ogółem 10 książek polskich lub na temat polskie.

— Wacław Iwanuk, poeta-żołnierz dwyjścił pancernej przegrował do druku tom poezji pt. *Czas Dni Kiszo*.

— Nakładem *Roku* w parę miesięcy po angielskim wydaniu ukazał się w Nowym Jorku polski oryginał *Powojownika* Kazimierza Wierzyńskiego. Pięknie wydany tom ilustracji rysunków Z. Czernańskiego. *Powojownik* zawiera kilkanaście opowiadań, opartych na relacjach żołnierzy polskich, walczących w kampanii wrześniowej.

— W salach Biblioteki Polskiej w Paryżu zorganizowano wystawę poświęconą pracom wielkich polskich artystów, w tym w tym mieście, a smutnych we Francji podczas tej wojny — Olgi Boznańskiej i Józefa Pankiewicza.

— Nakładem wydawnictwa *Świt* ukazał się w Jeruzolimie zbiór szkiców z Bliższego Wschodu pobra Bronisława Życkiego pt. *Wiek, ludzie, kamienie*.

— Nakładem wydawnictwa „W Drodze” ukazała się w piątym wydaniu głośna monografia prof. Sz. Askenazego *Książę Józef Poniatowski*.

— August Zamojski, rzeźbiarz polski, pracujący stale w Rio de Janeiro, twórca pomnika Szopnika, został mianowany delegatem rządów brazylijskiego dla badania szkolnictwa artystycznego w Stanach Zjednoczonych.

— W Londynie zapowiadają cykl koncertów Witolda Małcużyńskiego, młodego pianisty polskiego, który zdobył już sobie znaczną popularność w Ameryce.

— W Town Hall w Nowym Jorku odbył się koncert Wandy Landowskiej. W programie były m. in. utwory Szaryńskiego, Jarzębskiego oraz tańce polskie XVII, XVIII wieku.

ANDRE MAUROIS

AMERYKANIN W ANGLII

Mało jest na świecie miejsc równie ludzkich i równie pięknych jak dwa wielkie uniwersytety angielskie. Na urok ich składają się zarówno wdzięk średniowiecznych Kolegiów z koroną z szarego kamienia, malownicze ogrody z pływającymi wśród wierzb przecinającymi je rzekami, jak i klasztorna odrębność zwyczajów. Trudno by mi było wybierać pomiędzy Oxfordem a Cambridge. Wiekowa ich rywalizacja znana jest równie dobrze jak złośliwe przyczynki, jakich jedna uczelnia nie szczędzi drugiej: „Cambridge ma charakter prowincjonalny, ale Oxford ma w sobie coś z przedmieścia” — oskarża Cambridge. „W herbie Cambridge'u — odpowiada Oxford — Biblia jest zamknięta. W herbie Oxfordu jest ona otwarta”. — „Tak — ripostuje Cambridge — ale zawsze na tej samej stronie!” Albo jeszcze: „Cambridge wydaje reformatorów, a Oxford pali ich na stosie”.

W rzeczywistości obydwa uniwersytety mają swój styl, zasadniczo różny od młodzieńczego uroku siły uniwersytetów amerykańskich. A jednak...

A jednak Cambridge podbił serce profesora Dobie z uniwersytetu w Texas. W okresie kiedy miałem na uniwersytecie w Cambridge wykłady o rodzaju literackim zwanym *roman à clef*, Sir George Trevelyan powiedział raz do mnie: „Nie to jest ważne, że Tytton Strachey napisał biografię królowej Wiktorii, lecz że królowa Wiktorja zdobyła Strachey'a”. Można by podobnie powiedzieć: „Nie to jest ważne, że profesor Dobie z powodzeniem wykladał w Cambridge historię Ameryki, ważne jest, że Cambridge natchnęło go do napisania książki”. ciepłe — prawie że tkiwe — o dzisiejszej Anglii.

Znakomity historyk amerykański, Henry Steele Commager, powróciwszy z Anglii, gdzie zażądał przez pewien czas w Cambridge katedrę historii Ameryki, zaproponował profesorowi Dobie, by objął ją po nim. „Ja? — zaprotestował Dobie — ale ja od dziecka nie czytałem konstytucji amerykańskiej, a kiedy ją wówczas czytałem, nie rozumiałem jej”.

Commager zapewnił go, że na to, aby uczyć historii, nie potrzeba wiele wiedzy; wystarczy co rano przeczytać przy śniadaniu jeden rozdział z podręcznika i wyrecytować uczniom zanim się go zdoła zapamiętać.

Wkrótce przekonał się, że słuchacze byli bardziej wymagający, niż jego kolega. Zaczęli zadawać mu pytania na temat interpretacji konstytucji, praw Senatowi, zakresu władzy administracji poszczególnych Stanów; domagali się definicji partii demokratycznej i partii republikańskiej; prosili o przedstawienie im problemu murzyńskiego i o projekt rozwiązania tego problemu. Chcieli wiedzieć, jakie było pochodzenie muzyki jazzowej, ile żon wolno posiadać Mormonom i jaka jest cyfra przyrostu naturalnego u Indian. Profesor zmuszony był spędzać całe noce w lodowato zimnym pokoju, pracując nie mniej od „freshmana” (studenta pierwszego roku). Ale zamiast żywić do Cambridge urazę — Dobie stał się sentymentalny. Nieobce były mu przed wyjazdem do Anglii tradycyjne zarzuty stawiane Albionowi przez Amerykanów... Zacołanie kraju, niepoprawny konserwizm, lekkomyślny formalizm, nierówność społeczna... W niespełna pół roku wszystkie te zarzuty stopniały w ciepłe serce brytyjskich, jak śnieg w promieniach słońca i profesor Dobie, który przybył po to, by Anglikom mówić o Ameryce, napisał pełną humoru książkę, mającą pouczyć Amerykanów, czym jest Anglia.

Co wzbudziło jego zachwyt? Jest zabawnym paradoksem, że właśnie to, co na niewdzięczne każdego Amerykanin byłby potępił. Podobał mu się w szczególności głęboki szacunek dla kultury, że maskowany pozornym lekceważeniem inteligencji. Studenci w Cambridge zbierali się, by przedyskutować jakąś rezolucję, twierdzącą, że siła Anglików polega na tym, iż unikają oni myślenia; ale poziom dyskusji dowodził czegoś wręcz przeciwnego. Nie bez zadowolenia przekonał się, że w Anglii nie potępia się Premiera, gdy zasięga on zdania czy rady „profesorów o długich włosach”, i że profesorowi nie grozi utrata stanowiska za to, że jego poglądy ekonomiczne czy polityczne nie podobają się któremuś z patronów („trustee”). Zrazu zadziwiła go surowość obyczajów, zakaz palenia przed kawa, defilowanie orszakiem z jednej sali do drugiej, szaty uniwersyteckie, do których tak bardzo nie pasował jego texaski szerokoskrzydły kapelusz filcowy. Wkrótce jednak przekonał się, że surowość obyczajów zapewniała wolność umysłów. Poczuli się wyzwoleni z pęt propagandy, sloganów, skrupowania umysłu. Tolerancja i milczenie otoczyły go ochronną warstwą. Ah! Nie słucha już radia — patrzeć spokojnie na mecz piłki nożnej, nie będąc zmuszonym oklaskiwać jednej ze stron — widzieć studentów pijących piwo bez słuchania ciągłych przemówień, tańczenia, śpiewania, a nawet rozmowy! Profesor Dobie szybko doszedł do przekonania, że są to cenne formy cywilizacji.

Niebawem nauczył się cenić to, co niektórych jego rodaków doprowadza do szału: powściągliwość brytyjską. Z zachwytem opowiadał on historię dwóch braci Cavendish, ze znanej rodziny, którzy — spędzając noc w pewnym zajeździe, otrzymali pokój o trzech łóżkach z baldachami. Kotary trzeciego łóżka były ściśle zasunięte. Jeden z braci odchylił ukradkiem firankę i szybko zasunął ją, nie

powiedziawszy ani słowa. Po chwili drugi zrobił to samo. Nazajutrz, będąc już w drodze, jeden z nich odezwał się do drugiego: „czy wiesz, że w tym trzecim łóżku leżał trup?” — Oto przykład angielskiej powściągliwości. W czasie wojny jest ona tajną bronią tego narodu. Pewien dżentelmen w jednym klubie londyńskim usłyszał piekielny hałas. „Cóż to? — zapytał — grzmoty?”

Nie, — odpowiedziano mu — to tylko bomba latająca.

Ach tak! — powiedział z ulgą. Bałem się, że będzie deszcz”.

Przypomina mi to ową starszą damę z Canterbury, która mawiała: „Raczej lubię bombardowania; nie dają mi myśleć o wojnie”.

PAX SOVIETICA

(Dokończenie ze str. 1-ej)

syjskiej, że okrojone państwo polskie, niezdolne już do zorganizowania Europy Środkowej, oddzielone od Zachodu wrogimi Niemcami, zacznie przy wydatnej pomocy wprowadzonego siłą ustroju komunistycznego ciążyć ku Wschodowi. Rosja, występująca jako organizator obszarów wschodnich i środkowo-europejskich, stara się więc przede wszystkim o bezwładność swego historycznego poprzednika w tej roli.

IV

Jeżeli wierzyć niedyskrecjom amerykańskich publicystów, marsz Stalin nie wykazywał w Jałcie wiele entuzjazmu dla projektów San Francisco, ani dla zwołania konferencji pokojowej. Rosja załatwiłaby chętnie wszystkie sprawy w ramach bezpośrednich rozmów Wielkiej Trójki, bezpieczeństwo zaś zbiorowe uznawała raczej za formalistyczną fikcję, czemu daje zresztą wyraz uparte stanowisko rosyjskie w sprawie weta. Przekładając zaś silną strefę własnego bezpieczeństwa ponad działania międzynarodowej organizacji Zjednoczonych Narodów, polityka Sowietów musiała spojrzeć na pokonane Niemcy, jako na przyczółek wszelkiego ewentualnego ataku na system sowiecki we wschodniej Europie. Stąd też obok problemu polskiego, drugim kluczowym zagadnieniem stał się problem niemiecki.

Dwie drogi były tu do wyboru: albo zupełne rozbicie Niemiec, zadanie tak dotkliwych strat, ujarzmienie tak pełne, aby nie mogły one w przyszłości stanowić niebezpieczeństwa, albo też pozyskanie ich dla własnego systemu politycznego. Trudno dziś osądzić, czy już został dokonany wybór między dwiema możliwościami, czy też polityka sowiecka jest jeszcze w tej dziedzinie w fazie prób. Tym niemniej nie sposób nie dostrzec jaskrawej propagandy prorosyjskiej w Berlinie, bratania się żołnierzy sowieckich z Niemcami i licznych proklamacji oficerów niemieckich, niegdyś wziętych do niewoli, obecnie zapewnających o rosyjskiej przyjaźni dla narodu niemieckiego, który tak wiele przecierpiał w hitlerowskim uciśku. Trzeba też pamiętać, że w ugodzie berlińskiej, ustalającej administrację okupacyjną w Niemczech, nie było ani słowa o przyłączeniu Śląska i Pomorza do Polski — zostały one objęte ogólnym określeniem strefy okupacji czerwonej armii. Stosunek Rosji nawet do sowietyzowanej Polski może łatwo stać się z powrotem funkcją polityki Rosji wobec Niemiec.

Udało się przekonać Czechy o zyskowności roli propagatora nowego systemu politycznego Europy Środkowej. W rezultacie Czechy ulegają rozczłonkowaniu i po utracie Rusi Zakarpackiej stoją w przededniu rozpadu na Czechy właściwe i Słowację. Ta sama dezintegracja ogarnia Jugosławię. Milczenie okrywa losy Węgier, słowiańskie windykacje osaczają Austrię.

Wśród tego zalewu jedna Polska zdołała zachować odwagę i zdolność głośnego protestu, poprzez rząd Arciszewskiego odsłaniając prawdę stosunków pod okupacją sowiecką, a dzięki swej niezłomnej walce z Niemcami i uzyskanemu przez nią szacunkowi Sprzymierzonych pozostawiając sprawę niełatwą do przemilczenia i zatajenia.

Jedynym jaśniejszym momentem konferencji San Francisco, jedyną chwilą, w której opinia świata mogła swobodnie zabrać głos było głosowanie odrzucające sowiecką propozycję zaproszenia „rządu” lubelskiego. Dwa wielkie mocarstwa, choć tak trwale szukające kompromisu z Rosją, tym razem musiały pójść i poszły za wyrażonym w ten sposób protestem. Po pierwszym zaś odruchu oburzenia, przyszedł drugi. Stettinius i Eden przerwali rozmowy w sprawie polskiej na skutek przyznania się Rosji do aresztowania 16 przywódców polskich.

Wśród nich był wicepremier rządu polskiego, Jankowski. Objął on swój urząd jako trzeci z kolei wicepremier działający w Kraju. Poprzednik jego, dr. Piekałkiewicz, został aresztowany przez Niemców w r. 1942 — torturowano go nieludzko, wybijając wszystkie zęby i wyłupiając jedno oko. Kiedy mimo wszystkich męczarni nie nie wydał, pozostawiono bezsilnego w celi na Pawiaku, gdzie wkrótce zmarł. Nie było więc stanowisko Jankowskiego stanowiskiem bezpiecznym, ale czy przy-

Anglik interesuje się przeszłością; Amerykanin — przyszłością, ale nasz profesor z Texasu chwali Anglików za ich przywiązanie do przeszłości. Nabral zamilowania do historycznych czy literackich pielgrzymek, a każda niemal przechadzka w Anglii staje się łatwo pielgrzymką. Lubił spotykać cienie doktora John-sona, Nelsona i tych wszystkich nieznanym, których anonimową wianą przyjaźni wspomina się pod rubryką „In Memoriam” w „Timesie”. Odwiedził w Oxfordzie nagrobek Shelley'a, na którym umieszczony jest pomnik poety w pozycji leżącej.

Kiedy ja sam tam byłem, pewien angielski profesor, który znalazł się tam jednocześnie, odmierzył krokami długość leżącej postaci i

puszczał człowiek stojący na czele polskiego *Resistance'u*, iż aresztuje go armia jednego z narodów sprzymierzonych i... zjednoczonych?

Gest Stettinius'a i Edena był gestem spontanicznym. Był odruchem obrazzonej uczuciowości ludzkiej. Był od dawna oczekiwanym symbolem poszanowania moralności politycznej, stwierdzeniem, iż jednak nie ma ugody zawieranej za wszelką cenę, tak jak w r. 1939 nie było dla Polski pokoju za wszelką cenę.

Późniejsze rokowania Hopkinsa w Moskwie i Daviesa w Londynie przedstawiano jako sukces dyplomacji zachodniej. Raz jeszcze szukano kompromisu między stanowiskiem anglosaskim, a znowuż powiększonymi wymaganiami Rosji. Osiągnięto porozumienie, według którego Zachód zgodził się przynajmniej na proces polski, a strona sowiecka obiecała łagodny wyrok i — zapewne amnestię w przyszłości.

Być może, że ocalono w ten sposób życie polskich przywódców, o których z pewnością nikt nie niepokoił się bardziej, niż Polacy. Ale równocześnie przegrano sprawę moralną, dopuszczając do sądzenia żołnierzy jednej z armii sojusznicznych właśnie za to, iż byli zorganizowani w Ruch Oporu. Zgoda na podjęcie rozmów w sprawie polskiej bez uprzedniego uwolnienia aresztowanych była kapitulacją moralną Zachodu i jako taka pozostanie w historii.

V

Dziś trzeba przecierać oczy, gdy czyta się o uznaniu „rządu” rzekomej jednoci narodowej przez mocarstwa zachodnie. Nie tak dawno jeszcze „Time and Tide” mówił, iż jest niesłychane, by wicepremier polski trafił do więzienia w chwili zwycięstwa i powszechnej radości. Nie tak dawno G. H. Hall, jako podsekretarz stanu w Foreign Office, oświadczał w Izbie Gmin, iż „Rząd J.K. Mości przywiązuje jak największą wagę do uwolnienia przez Sowietów członków polskiego rządu podziemnego i armii, która walczyła z Niemcami”. „The Economist”, jeszcze w końcu maja pisał:

„Rosjanie przez swoją brutalną taktykę zamknęli drogę do rozwiązania, które sami proponowali. Wymawiają się tym, że w Londynie i w Polsce są Polacy, których głównym celem ma być izolowanie Rosji i stworzenie tzw. kordonu sanitarnego. Tym niemniej polityka rosyjska może dać tylko taki rezultat, że przeko-na świat, iż tego rodzaju kordon jest istotnie potrzebny”.

Świat jednak ma na swoje usprawiedliwienie, iż nie uczynił niczego gorszego, niż byłby premier polski, który zgodził się odwiedzić Moskwę i rozmawiać o współpracy właśnie podczas procesu ministrów, których mianował i którzy narazili swe życie dla wykonania jego instrukcji. Bez decyzji Mikołajczyka wyjazdu do Moskwy, protest moralny świata przeciw procesowi mógł być ocalony. Misja Hopkinsa nie przyniosłaby rezultatu, gdyby Mikołajczyk nie podzielił jej ustępstw.

Mikołajczyka bowiem nie można było zamienić Stańczykiem, czy Kołodziejem. Nikomu nie dodano by wówczas wmówić, że „porozumienie” jest czymś więcej, jak sprytnie zaaranżowaną sceną dla filmowych operatorów. Tylko Mikołajczyk, jako były premier, jako następca Sikorskiego, jako człowiek przez długi okres czasu decydujący o pounięściach Ruchu Podziemnego, jako jeden z przywódców chłopskich, był zdolny do wywołania odpowiednich złudzeń. Tylko jego udział w rządzie komunistycznym mógł posłużyć za łatwy pretekst do cofnięcia uznania rządowi polskiemu, tylko jego decyzja mogła oddać istotną usługę sowieckiej koncepcji Europy Środkowej, sowieckiemu ideałowi „eksperymentu komunistycznego w granicach rosyjskiej sfery wpływów”.

Oto jest rozmiar następstw tego kroku, rozmiar wyrządzonych szkód. *The cause... is not in our stars, but in ourselves.* W kroku Polaka musimy, niestety, widzieć decydującą przyczynę formalną, dla której ostatni prawdziwie niepodległy rząd Europy Środkowej nie może dłużej w pełni majestatu reprezentować swego państwa na tej wyspie, gdzie premier Churchill przyrzekał — w obliczu zaciemnionego horyzontu — że sztandar wolności będzie, mimo wszystko, wiecznie powiewać na skałach Dovru.

zwrócił się do mnie: „Pięć stóp i siedem cali — nie był wysoki!” Pomysł mierzenia poetów na długość wydał mi się tak niezwykły, że odwołując tegoż dnia poetę-laureata Roberta Bridges'a, który mieszkał w pobliżu Oxfordu, opowiedziałem mu tę anegdotę. Bridges spojrział na mnie ze zdziwieniem: „I cóż z tego? — odparł poważnie — to jest prawda. Istotnie nie był wysoki”. Podobają by się to na pewno profesorowi Dobie.

Nie tylko badał on z zamiłowaniem przeszłość Anglii, ale doszedł do tego, że począł zachwalać prawdziwy konserwizm („konserwować — to utrzymywać i reformować”) i napisał owe zdanie, które zachwyciło by Disraeliego: „Nota bene: bez owych kilku starych, arystokratycznych rodów, które w swych włościach poczuwały się nadal do odpowiedzialności za ziemię i mieszkańców, hodowla bydła i kultura ziemi byłyby w Anglii w smutnym stanie. Oddaje hołd owym starym arystokratom, którzy w testamentach swych prosili, aby zwłoki ich wiezione były na cmentarz wiejską furką...” Kiedy Amerykanin zaczyna zachwalać arystokratyczne cnoty, wszystko na tym świecie staje się możliwe.

Ktokolwiek naprawdę kocha przyrodę, czuje się w Anglii szczęśliwy. Profesor Dobie czytał na kwiaty i ptaki, o których pisze Szekspir. Nie doznał zawodu. Pragnął na własne uszy usłyszeć słowiki, kukulki, skowronki i kosy, — i usłyszał je. Miał nadzieję ujrzeć na własne oczy kaczęce, pierwiosniki, żurawie, krzewy w kwiecie, stokrocie Burnsa i fiołki Shelley'a obok kamieni pokrwitych mchem, i zobaczył je. „Przyszła wiosna i było to, jak gdyby był kochankiem z dawną poślubioną piękną, niewidzialną pani, która narzeczcie mi się objawia. Anglia w kwietniu, maju, czerwcu, spełnia to wszystko, co opiewali poeci... Ziemia cała zieleni się, kwitnie i śpiewa. Piękna z natury, ziemia ta stała się jeszcze piękniejsza dzięki temu, że całe pokolenie unarawiały ją zarówno swymi rękami, jak i swą duszą...”

Co najważniejsze, profesor Dobie nauczył się w ciągu swej sentymentalnej podróży poznawać Anglików nie tak, jak się poznaje dziwnych cudzoziemców, ale jako istot ludzkich. Znał dźwięki gawęd brytyjskich, lekko, po prostu, niekiedy komickimi anegdotami o zwierzętach i ludziach, ale które — podobnie jak wiejska droga angielska widać się pomiędzy kwiatkami i żywotkami — docierała w końcu do celu. Miłe wspomnienie pozostawiła mu pewna podróż koleją z dwoma lordami i jednym nsem, i nie dziw się, gdyż jednym z jego towarzyszy był Lord Macmillan, jeden z najsłynniejszych i najbardziej wykształconych sędziów angielskich. Profesor Dobie przekonał się, że Anglicy — mimo że nie są tak wesołi, jak za czasów królowej Elżbiety, która kazała im tańczyć naokoło Drzewa Maiowego, to jednak pozostali ludźmi istotnie porożnymi.

I pełnymi serca... Dobie znajduje określenia iście dickensowskie, gdy opisuje Boże Narodzenie w Cambridge: wszystkie „happy Christmas, sir” portiera kolegium i gospodyni; chóry w King's Chapel i wreszcie spacer do Grantchester poprzez pola i łąki, pięknie wyasfaltowaną drogą. „Któż pomyślał o asfaltowaniu tej ścieżki?” — zapytał Dobie.

„Okolo dwieście lat temu — odpowiedział mu, — dwóch studentów z Cambridge lubił ten spacer, lecz nie cierpiał błota. Przyszło im na myśl, że i inni podzielać będą ich gust, więc umierając pozostawili kapitał na wybrukowanie dróżki i utrzymywania jej z wieku na wiek. I w ten sposób, zawsze tu będzie przyjemny spacer...”

„Ta myśl o potomności, to staranie o uroki życia, — stwierdza profesor — oto prawdziwa cywilizacja”.

Na tym zdaniu należy zakończyć, gdyż streszcza ono całą książkę. Prof. Dobie, przybył do Anglii dla dyskutowania o długorogich wotach („de bobus longicornibus”), odkrył cywilizację. Powrócił ze swej podróży pod urokiem niskich głosów kobiet angielskich, nonszalancji, wygody, radia bez reklam, dobrego smaku i zdrowego sensu. Godzimy się z nim we wszystkich tych punktach.

Ale są inne, którym chętnie bym widział poświęcone choć parę ustępów. Pierwszym jest fakt, że Ameryka ma swój udział w wielu z tych cnót. Serdeczność, na przykład, nie jest w Ameryce rzadką. Anglicy zawrócili z drogi, by mu wskazać gdzie ma iść? Na pewno tak było, ale iluż Amerykanów oddało mi taką samą przysługę... Ptaki śpiewają i kwiaty pachną w ogrodach Kew? Zapewne, ale tak samo jest w ogrodach Missouri czy Texasu. Pamiętam San Antonio na wiosnę i przepiórki w jednym z ogrodów w Kansas City... Rozmowa sędziów w londyńskim pociągu była błyskotliwa? Być może, ale rozmowa sędziów pewnego wieczora w Filadelfii wydała mi się niezmiernie kulturalna... Innym wreszcie punktem jest, że ta Anglia idylliczna, sentymentalna, jaką nam opisują, nie jest całą Anglią, tą, która rządzi imperium i ma wpływ na Europę. Istnieją głębie i kulisy, które nie znalazły miejsca w ramach tej uroczej książki, „but the glory of the garden lies in more than meets the eye” — „ale świetność ogrodu kryje się w czymś więcej, niż widzą oczy”.

*) J. Frank Dobie: A Texan in England (Little, Brown & Company).

zb

ALEKSANDER BREGMAN

DUCH BANKA

(Od korespondenta „W Drodze” w San Francisco)

San Francisco, w czerwcu.

W atmosferze powszechnego zniechęcenia konferencja w San Francisco dobiega powoli — bardzo, bardzo powoli — końca. Nietrudno sobie wyobrazić końcową uroczystość, która bez względu na osiągnięte wyniki będzie pompacyjna i widowiskowa. Im mniejsze znaczenie mieć będzie podpisany dokument, tym szumniejszą będą frazesy towarzyszące składaniu podpisów pod nową Kartą organizacji międzynarodowej.

„My, ludy Zjednoczonych Narodów...” — tak oto ma się zaczynać wzniosły wstęp niewznieśłego dokumentu. Ilez zaklamania w pierwszych od razu słowach! „We, the people” nie mieliśmy zaiste nic do powiedzenia na tej konferencji. Przedstawiele ludu cały czas pozostawali za drzwiami, podczas gdy dyplomaci — według świętego określenia hiszpańskiego socjalisty Indalecio Prieto — „odwrócili się plecami do dramatu, tyłem do publiczności, tyłem do ludu”. Ludy świata chcą organizacji międzynarodowej, ale organizacji prawdziwej, nie zaś tej fasady, którą wznosi się tutaj i która, cokolwiek głosić będzie propaganda, stanowić będzie ową „tarczę dla silnych i sznyderstwo dla słabych”, o których mówił Winston Churchill.

„Zjednoczone Narody”... Niczego ta konferencja nie wykazała tak dobitnie, jak właśnie fakt, że Zjednoczone Narody są coraz mniej zjednoczone. Któż tu bowiem jest ze sobą „zjednoczony”? Może Francja z Syrią i Libanem? Może Wielka Brytania i Jugosławia Tito? Może Sowiety i narody Ameryki Łacińskiej? Istnienie konfliktów i rozbieżności jest rzeczą naturalną i zrozumiałą. Gdyby ich nie było, nie byłaby potrzebna międzynarodowa organizacja dla ich usuwania. Ale po co używać wyrażenia, które nie ma po prostu sensu? Dlaczego nie mówić o Lidze Narodów, czy czynić w tym rodzaju? Dlaczego czynić już z samej nazwy instytucji symbol fałszu i niewiary?

Jeżeli konferencja w San Francisco nie zdołała zjednoczyć „zjednoczonych narodów”, to osiągnęła jedno: oto liczba tych niezjednoczonych zjednoczonych poważnie wzrosła. W dniu otwarcia konferencji było ich 46. W dniu zamknięcia będzie aż 50.

Pół setki flag będzie więc powiewać nad Operą w San Francisco w dniu końcowego przedstawienia. Będą trzepotały flagi narodów, których delegacje nie mogły sobie ani rusz przypomnieć, jak ich barwy „narodowe” wyglądają, jako że moskiewskiego chowu „Ukraińcy” i „Białorusini” nigdy ich przedtem nie widzieli... Będą trzepotały flagi, które nie oglądały żadnego w tej wojnie pobojujowskiego. Nie będzie natomiast flagi polskiej — flagi skrawiowej w Warszawie, Tobruku, Monte Cassino czy Falaise...

Kto wie, może w tych warunkach nieobecność flagi polskiej mieć będzie jeszcze większą wymowę niż w dniu otwarcia. W każdym razie bardziej niż kiedykolwiek nazwa „Zjednoczone Narody” brzmi jak sznyderstwo.

Mogło być gorzej

Oglądając się wstecz na długie i smutne tygodnie tej może najtragiczniejszej w swej beznadziejności konferencji międzynarodowej, siłą rzeczy myślimy przede wszystkim o pustym krześle polskim. Czy mogło być inaczej? Czy Polska mogła być reprezentowana w San Francisco? — Co do stanowiska mocarstw jałtańskich nie mogliśmy nigdy mieć żadnych złudzeń. Wielka Brytania i St. Zjednoczone trzymały się Jaltę, jak tonący brzytwy, choć Rosja naruszyła układ bezustannie we wszystkich dziedzinach. Anglicy i Amerykanie mieli wiele okazji, by wycofać się z ponurego układu krymskiego; mogli przedstawić sprawę reprezentacji Polski samej konferencji tak, aby została rozstrzygnięta przez głosowanie, zastosować do Polski procedurę jaka obowiązywała w stosunku do innych państw, nawet w stosunku do Argentyny. Ale lek przed możliwością, że Rosja trząsnie drzwiami, powstrzymał je. Zdobyły się wówczas na „nie” wobec żądań Molotowa, ale na nic więcej.

Wolno było nam, Polakom, mieć nadzieję, że przynajmniej inne państwa, owa masa mniejszych narodów zagrożonych podobnym losem, zbuntują się przeciw dyktatorowi krymskiemu. Ale przecenialiśmy ich odwagę. Przez cały czas konferencji jeden tylko delegat Nowej Zelandii, Fraser (który wraz ze swym australijskim kolegą Eivatem, uznany będzie za szolową postać konferencji) powiedział parę słów w obronie praw Polski. Wszyscy inni milczeli.

Każdy z nas, Polaków, przeżył tu dużo przykrych, bolesnych chwil, wiele rozczarowań i zawodów. Ale zaoszczędzone nam zostały upokorzenia takie, jakie przypadły w udziale Czechom i Jugosłowianom. Nie mieliśmy tu polskiego Masaryka, czy polskiego Subasica. Kandydat do tej roli musiał się zadowolić wysłaniem swojego „obserwatora”... Ten obserwator chyba doniesie p. Mikolajczykowi jakby wyglądał, gdyby się zjawił w roli przedstawiciela rządu jednności narodowej z nominacji pp. Molotowa, Kerr’a i Harrimana.

Cóż to za tragiczna rola być w San Francisco delegatem Jugosławii czy Czechosłowacji! Jeden z dawnych genewskich przyjaciół, zasiadający w którejś z komisji, mówił mi w tych dniach: „Plakać się chce, gdy się widzi takiego Jugosłowianina czy Czecha. Wstaje, ręce mu się trzęsą, głos mu drży gdy czyta swe oświadczenie... Nigdy nie

mówi z pamięci, zawsze czyta... Tekst jest oczywiście przygotowany z góry i aprobowany przez „wyższe” władze... A delegat sowiecki słucha uważnie i pilnuje, czy podwładny nie odchyła się czasem od instrukcji”.

Oczywiście żaden z nich nie może niczego zrobić dla swego kraju. Współdziałają jedynie we wprowadzeniu świata w błąd fikcją, że oba kraje są reprezentowane i pozostają niepodległe. Co prawda po paru głosowaniach, w których głos Czechosłowacji i Jugosławii automatycznie szedł za głosem Sowietów, nikt prawie nie ma na ten temat złudzeń. Jugosławia i Czechosłowacja powszechnie wymieniane są jednym tchem wraz z Ukrainą i Białorusią jako członkowie „bloku sowieckiego”.

Tak mało brakowało, by do pięciu głosów tego bloku nie doszedł szósty — przedstawiciela „rządu polskiego” made in Moscow wedle jałtańskiej recepty. Tak samo byłoby on bezzilny, tak samo nie mógłby niczego uczynić dla Polski, tak samo musiałby gardłować za rzeczą też całkowicie sprzeczną z naszą racją stanu.

A jednak obecni

Niczym duch Banka nieobecna Polska straszy w San Francisco. Flaga polska jest nieobecna w Operze, ale powiewa wraz z flagami innych Zjednoczonych Narodów (bez Ukrainy, Białorusi i Argentyny...) w oknie każdego niemal sklepu w San Francisco. I smutne zgromadzenie hamletyzujących delegatów, dyskutujących „być albo nie być” międzynarodowej organizacji, nie może widma Polski przepędzić. Na nie wszystkie zakłęcia i egzorcyzmy.

Nawet przy uniknięciu niebezpieczeństwa fikcyjnej polskiej reprezentacji mogło się zdarzyć, że o Polsce było by tu głucho. Tak się nie stało. Znowu w pewnej mierze przyczyniła się do tego sama Rosja swymi posunięciami, zwłaszcza zaś aresztowaniem 16 przywódców. Ale niezależnie od tego wszystko zostało uczynione, aby nie dopuścić do rzużenia na sprawę polską zasłony śmiertelnej milczenia.

Wielka jest w tym zasługa Polonii amerykańskiej, a w szczególności Kongresu polsko-amerykańskiego, który nie szczędził wysiłków, by przeskoczyć próbom usunięcia sprawy polskiej w cień. Szły od kongresu do p. Stettinusa, a w praktyce do całego narodu amerykańskiego — depesze, memorialy, protesty i wołania o obronę praw Polski do wolności i bezpieczeństwa. Konferencje prasowe, na których przemawiał p. Rozmarek, pani Rozmarkowa i prof. Halecki, memorialy w całości ogłaszane w prasie, walcnie przyczyniały się do szerzenia prawdy o Polsce. Wielu delegatów chciało, być może, zapomnieć o Polsce. Ale nie mogli.

Czego możemy się spodziewać?

A w przyszłości? Czy ta nowa Liga Narodów mozolnie budowana w pracach, które czasami wydają się szczyfowe, stworzy jakiegokolwiek możliwości obrony naszych praw i walki o naszą wolność?

Nie łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Narazie nie wiadomo nawet, czy ta organizacja międzynarodowa będzie w ogóle zdolna do życia. Ba, zakładając, że wszystkie wielkie trudności, które chwilowo udaremniają wszelkie postępy zostaną przezwyciężone i Karta zostanie podpisana, wcale nie jest jeszcze pewne, iż dokument będzie ratyfikowany. Będzie przecież rzeczą oczywistą dla narodów demokratycznych i żadna propaganda nie potrafi na stałe tego ukryć, że organizacja ma być nędznym parawanem dla rządów wielkich mocarstw, o ile zdołają one odbudować swoją „jedność” oraz instrumentem utrzymania tych niesprawiedliwości, które tworzyć będą tzw. pokój.

A jeśli nawet ratyfikacja nastąpi, to jeszcze zdolność do życia nowej Ligi będzie problematyczna. Pierwsze zastosowanie prawa weta przez którekolwiek z mocarstw wykaże, iż jest to domek z kart, pozbawiony wszelkiego znaczenia.

Niektórzy nasi przyjaciele, zwłaszcza amerykańscy, wskazują na pewne artykuły Karty jako otwierające możliwości obrony naszych praw. Mówią przy tym w szczególności o prawie przynależności Zgromadzeniu do dyskusowania wszelkich zagadnień, zwłaszcza zaś o prawie „zalecania kroków celem pokojowego opanowania wszelkich sytuacji, bez względu na ich źródło, które uzna za mogące naruszyć powszechną pomyślność lub przyjazne stosunki pomiędzy narodami”. Twierdzi się, że na tej podstawie Zgromadzenie będzie mogło zająć się tragicznym losem Polski a nawet zalecić rewizję linii Curzona.

Nie brzmi to bardzo przekonująco. Przede wszystkim zalecenia Zgromadzenia nie będą miały charakteru wiążącego i nie ma żadnej podstawy, by przypuszczać, że Rosja cokolwiek będzie sobie z nich robiła. Co więcej, obserwując choćby tę konferencję, trudno spodziewać się, że ci sami ludzie, gdy zasiądą na podobnym zgromadzeniu, tylko pod formą „zgromadzenia organizacji Zjednoczonych Narodów”, wykażą więcej odwagi niż tutaj. Ze zdołają się na to, by publicznie protestować przeciw krzywdzie narodu polskiego, choć dziś milczą na ten temat jak zakłeci. Jeżeli sytuacja pozostanie ta sama, lek przed narażeniem się Rosji będzie tak samo paraliżował rządy i paczył charakter, jak na konferencji w San Francisco. Jeżeli natomiast sytuacja na świecie ulegnie zmianie, to — również i organizacja międzynarodowa będzie musiała ulec całkowitej przebudowie.

Z drugiej strony, jeżeli organizacja w ogóle będzie żyła, jej idea przewodnią będzie utrzymanie za wszelką cenę „jedności” wielkich mocarstw. Cenę oczywiście zapłacić będą musiały mniejsze państwa, tak jak płaciły ją w Teheranie, czy Jałcie, za krótkie przedłużenie owej „jedności”.

Trudno więc spodziewać się wiele dobrego po istnieniu tego rodzaju organizacji. Główną korzyścią, jaka z niej może wyniknąć będzie tak, jak na konferencji w San Francisco, sposobność do apelowania — ponad głowami Rady czy Zgromadzenia — do opinii świata. Podeptane prawa Polski będą niezmiennie straszyć w gmachu pokoju, który usiłuje się zbudować na krzywdzie polskiej, aż sprawiedliwości — tej sprawiedliwości, której pojęcie tak cynicznie jest tu nadużywane — stanie się zadość.

Z PRASY OBCEJ

„Displaced persons”

Zwizyli i nie nie mówiący urzędowy skrót „D. Ps.” zamyka w sobie ogrom cierpienia w rozmiarach swych przewyższający wszystko, co dotychczas było znane w dziejach. „D. Ps.” oznacza „Displaced Persons” (osoby zmuszone do opuszczenia swego miejsca zamieszkania). Oblicza się, że w samych tylko Niemczech jest dziesięć do jedenastu milionów tych bezradnych, nieszczęśliwych ludzi. W strefie okupacyjnej państw zachodnich zarejestrowano do tej chwili — jak podaje *The Economist* — cztery i pół miliona „D. Ps.”; rejestracja nie została jeszcze ukończona. Objęła ona dotąd 1.500.000 Rosjan, 1.200.000 Francuzów, 600.000 Polaków oraz mniejsze już ilości Belgów, Holendrów, Jugosłowian, Czechów itd. Pozostają oni pod opieką Głównej Kwatery Sprzymierzonych sprawowaną przez tzw. Wydział Spraw Cywilnych, „G-5”. Władze wojskowe wspomagane są przez UNRRA, która z kolei korzysta z pomocy różnych organizacji poszczególnych państw. Z czasem, gdy okres rządów wojskowych zakończy się, UNRRA będzie wyłącznie odpowiedzialna za sprawy opieki i repatriacji osób bezdomnych. Całość problemu omawia *The Economist* w artykule z 6 czerwca, który podajemy w streszczeniu.

Wysuwano pewne wątpliwości — pisał *The Economist* — czy UNRRA będzie zdolna do wykonania tak olbrzymiego zadania. Ubiegłej zimy powszechnie sądzono, że zawiadła ona pokładane w niej nadzieje, jeśli chodzi o dostawy i zaopatrzenie. Dziś znowu wydaje się, że jednak UNRRA zdołała odzyskać zaufanie. Obecnie bowiem lekcja ostatniej zimy, gdy groźba rewolucji była bardzo bliska, dała już rezultaty. W Kwaterze Głównej uważa się za zaspokojenie potrzeb ludności cywilnej za „ważny cel wojskowy”, za którego osiągnięcie władze wojskowe są bezpośrednio odpowiedzialne.

Zespoły UNRRA składają się z ludzi wszystkich narodowości; są one specjalnie przygotowywane do pracy w olbrzymim punkcie zbornym w Gravelle, w pobliżu Cherbourg. Pracowników pomocniczych rekrutuje się spośród miejscowej ludności krajów wyzwolonych. Ci, po krótkim przeszkoleniu, wykonywują wszystkie czynności techniczne, a także i część prac fizycznych.

230 zespołów UNRRA pracuje już w terenie; wkrótce cyfra ta zostanie powiększona do 450. Każdy zespół zakłada własny oboz. Obozy te mieszczą się w najrozszerzniejszych miejscach, jedne — w dawnych niemieckich obozach koncentracyjnych, inne — w dzielnicach willowej wielkich miast. Zadania UNRRA są wykonywane w następującej kolejności: rejestracja, odswolenie, inspekcja lekarska, pierwszy posiłek, mydło, prześcieradła, wyżywienie, sprzęty. Repatriacji nie wolno przeprowadzać zanim oficer łącznikowy odpowiedniego państwa nie sprawdzi danych osobistych i nie zaakceptuje kandydata. Przy każdym z zespołów UNRRA czynni są eksperci repatriacyjnych, akredytowani przy Kwaterze Głównej Sprzymierzonych. Francuzi, którzy początkowo pracowali pod hasłem „Szybkość, porządek, ludzkość” zbyt dosłownie zrozumieli postulat szybkości i zwolnili wielu jeńców bez niezbędnego badania lekarskiego. Zapłaciłi drogę za swój błąd: w Paryżu wybuchła epidemia tyfusu.

Wiele trudności i dużo niepotrzebnych niepokojów sprawia zły stan linii komunikacyjnych pomiędzy poszczególnymi obozami. Dodatkowe trudności powodują pogubieni i poszukujący się wzajemnie „D. Ps.”. Niezbędne potrzebne jest zaprowadzenie centralnego rejestru wszystkich pozostających pod opieką UNRRA.

Jeśli chodzi o nastrój psychiczny „bezdolnych”, nieraz zmienia się on z godziny na godzinę. Do przejścia ze skrajnej rozpacz w bezgraniczną niemal radość wystarczy czasem dostarczenie rozrylacza z płynem dezynfekcyjnym, kawałka mydła, lub — co bardziej zrozumiałe — biletu na przelot samolotem.

UNRRA na zasadzie swego statutu nie może zmusić nikogo, by powrócił do swego kraju, o ile tego sobie nie życzy. Jedynie Rosjanie odsyłali się do swej ojczyzny bez uwzględniania ich osobistych życzeń. Nie jest jeszcze wyjaśniona sprawa, jak długo UNRRA ma utrzymywać ludzi, którzy nie chcą wrócić tam skąd przyszli. Jaką mają oni otrzymać przynależność państwową, jeśli nie mają zostać „bezpatriotami”?

Technicznie komitet, w skład którego wchodzi przedstawiciele poszczególnych rządów, posiada już dostatecznie rozwinięty aparat, by rozwiązywać tego rodzaju problemy. Ponieważ jednak większość nowych wędrowców przybyła z Polski i z krajów, obecnie włączonych do ZSRR, Rosja sprzecywała swe własne poglądy na to, co się z nimi ma stać. Problem bez wątpienia nie będzie rozwiązany przez żaden organ o znaczeniu mniej decydującym niż konferencja Wielkiej Trójki.

Najbardziej zawikłanie przedstawia się sprawa Polaków, ponieważ jest ich najwięcej i ponieważ Narody Zjednoczone nie są zgodne co do tego, który rząd polski ma prawo przemawiać w ich imieniu. Płk. Paravieini, oficer Kwatery Głównej, któremu powierzono pieczę nad osobami bezdomnymi, oświadczył, że tylko jeden procent Polaków pragnie powrócić do Polski w obecnych warunkach. Władze lubelskie odpowiadają, że cyfra ta jest wynikiem wpływu wywieranego przez polskich oficerów repatriacyjnych przydzielonych do Kwatery Głównej i przez polskich pracowników UNRRA, z których wszyscy zawdzięczają swe nominacje bądź rządowi polskiemu w Londynie, bądź bardziej jeszcze bezkompromisowemu Dowódcy Armii Polskiej. Oferta premiera Churchill’a, mówiąca o obywatelstwie Imperium Brytyjskiego, jak dotychczas, dotyczy jedynie tych, którzy walczyli wspólnie z armią brytyjską. Sumienie każe zwyciężskiemu mocarstwu zaoferować jakąś przyszłość także i Polakom, pozostającym na emigracji.

Trudność powyższa nie dotyczy wyłącznie Polaków. Obozy są pełne Łotyszów, Estończyków, Litwinów, Żydów z Węgier i innych krajów, oraz przeciwstawiających się rządowi Tito Jugosłowian. I tu mamy do czynienia z wieloma problemami politycznymi. Marszałek Tito na przykład protestuje przeciwko utrzymywaniu przez UNRRA Serbów i Kroatów, którzy, jego zdaniem, są politycznie podejrzani. Pierwszy rok pokoju jest zawsze najcięższy. Ilość szukających nowych

widnokągów może się zmniejszyć, gdy sprawy Środkowej i Wschodniej Europy zostaną uregulowane. Ale ilość dobrowolnych uchodźców przekroczyć za to może nawet i milion. Wtedy Narody Zjednoczone staną przed obliczem problemu moralnego: czy ma się nagiąć wolę bezdomnych według życzeń przedstawicieli kierunków autorytatywnych, którzy pragną, by powrócili oni do swych krajów; — czy też ma się dla nich wspólnie stworzyć nową siedzibę narodową; — czy każdemu z nich ma się hojną ręką ofiarować odpowiednie schronienie? Doświadczenie ze zbiegami spod reżimu Hitlera stanowi ostrzeżenie, że żaden z dwóch ostatnich projektów nie jest łatwy do przeprowadzenia na terenie międzynarodowym.

Statut jednak, jaki Narody Zjednoczone wypracowały dla swej organizacji pomocy i rehabilitacji, jest dowodem, że większość Narodów Zjednoczonych będzie uważać pierwszą z powyższych trzech możliwości za moralnie nie do przyjęcia.

Śladami carów

New York Times w numerze z dnia 28 maja 1945 zamieścił artykuł H. W. Baldwin’a pt. „Stalin kroczy śladami carów”. Artykuł omawiający pozycję i cele strategiczne Rosji, podajemy poniżej w obszernym streszczeniu.

Względy strategiczne stanowią dla Rosji Sowieckiej tło, na którym rozwija się zarówno działalność w San Francisco, jak i poszczególne poczynania sowieckie w Europie. Omawiając sprawę celów polityki rosyjskiej trudno jest rozróżnić pomiędzy przesłankami ideologicznymi, a strategicznymi, ponieważ były one zawsze splecione ze sobą we wszystkich sowieckich kalkulacjach: jedne używano się do uzupełniania drugich. Mimo to od dawna w historii rosyjskiej istniały tendencje, zniewalające do przyjęcia pewnego kierunku — istniejące jeszcze przed powstaniem rządu komunistycznego — a niektóre z tych zasadniczych tendencji politycznych dostrzega się w dzisiejszej działalności Sowietów.

Historycznie, panslawizm, dążenia rosyjskie do pozyskania portów w ciepłych morzach Azji i Europy, interesy rosyjskie w basenie Morza Śródziemnego, na Morzu Bałtyckim i na morzach Wschodnich Chin nie stanowią wytworu reżimu sowieckiego, lecz są wyrazem dawnych założeń odziedziczonych po carach. Te i inne cele polityki rosyjskiej, od czasu gdy komuniści uzyskali władzę, zostały zabawione ideologiczną koncepcją rewolucyjnego porządku świata, co utrudnia wszystkie kalkulacje dotyczące ewentualnych celów Rosji.

Jednakowoż z czysto strategicznego punktu widzenia, biorącego za punkt wyjścia bezpieczeństwo państwa — motyw dziś dominujący w rosyjskim myśleniu — można by ułożyć listę pewnych postulatów:

1) Bezpieczeństwo zachodnich granic Rosji Sowieckiej. Trzy razy w ciągu trzydziestu jeden lat, czternaście razy — od roku 1800, Rosja została zaatakowana od zachodu lub walczyła na błotnistych terenach w pobliżu zachodnich granic. Trzy z tych inwazji — Napoleona, cesarza Wilhelm’a i Hitlera — spowodowały olbrzymie zniszczenia, czwarta zaś — interwencja Sprzymierzonych przeciw bolszewikom w czasie rosyjskiej wojny domowej — pozostawiła niezatarte piętno na sowieckim sposobie myślenia.

Zgodnie z tradycją Polska i Turcja były „bolesnymi punktami” na rosyjskich granicach zachodnich, a rejon czarnomorsko-dardaneelski od dawna stanowił „kość niezgody”. Rosja powodowana względami strategicznymi, dąży do przesunięcia bardziej na zachód sfery swych politycznych, wojskowych i ekonomicznych wpływów celem zabezpieczenia swych granic. Ten cel strategiczny wyjaśnić może plan stworzenia szeregu państw buforowych wzdłuż zachodniej granicy, które miałyby służyć jako „kordon sanitarny” — nie przeciw Rosji, lecz dla ochrony Rosji.

Na linii od Morza Artyckiego do Morza Śródziemnego dzisiejsza obronna pozycja strategiczna Rosji jest znacznie silniejsza niż dawniej, gdy granica przebiegała na błotach Prypeci, na Wiśle, na Prucie i Dniestrze. Dziś Rosja lub jej państwa wasalne, wsparte o jej potęgę wojskową, kontrolują Petsamo, całe Morze Artyczne i dostęp do rejonu Murmański — Morze Białe, do Zatoki Fińskiej i środkowego Bałtyku aż po wyspę Bornholm.

Wojska rosyjskie lub wasalne nad Elbą lub Odrą kontrolujące największą część północnych Niemiec — historyczną bramę z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód, oparte jednym skrzydłem o Bałtyk, drugim o Karpaty, korzystają z pozycji strategicznej o wiele pomyślniejszej, niż dawniej, gdy koncentrowały się w rejonie Prypeci, a wielkie równiny rosyjskie stały otworem przed najeźdźcą. Bardziej na południe więzienie Czechosłowacji w rosyjską sferę wpływów oznacza, że Rosjanie kontrolują strategiczny bastion Czech i historyczną Bramę Morawską, którą z dawien dawna szły armie najeźdźcy. W Linzu i w Wiedniu Rosjanie kontrolują Bramę Wiedeńską — wrota prowadzące do inwazji doliny Dunaju. Na południu skrzydło rosyjskie opiera się o Adriatyk a — jeśli się to im uda — Rosjanie zabezpieczą sobie także i dostęp do Morza Śródziemnego przez udział w kontroli Dardaneli.

2) Następnym celem strategicznym Rosji, ustepującym jedynie zagadnieniu bezpieczeństwa granicy zachodniej, — jest bezpieczeństwo jej wschodnich granic. Na Dalekim Wschodzie politykę rosyjską przedziej czy później kształtować będzie fakt, że kolej trans-syberyjska przebiega niedaleko od granicy Mandżurii i że Władywostok leży w rejonie geograficznie niebezpiecznym.

3) Tradycyjnie Rosja szuka dostępu raczej do mórz ciepłych i oceanu, niż do mórz w pewnym sensie zamkniętych. Wyjaśnia to dążenie do uzyskania kontroli nad Petsamo, Triestem i Dardanelami. Innym wyrazem tej samej polityki jest usiłowanie pozyskania wpływów w Iranie i Zatoce Perskiej. Na Dalekim Wschodzie Rosja zmierza do opanowania Sachalinu i japońskich Wysp Kurylskich, które stanowią zapórę na drogach morskich do portów syberyjskich.

Święte i codzienne

(Książka i film o Bernadecie z Lourdes)

Zasadnicza dyskusja przy omawianiu powieści Werfla*) jest nie tylko zbędna, ale i niemożliwa. Odczuł to reżyser filmu, otwierając obraz o Bernadecie z Lourdes zdaniem: „Tym, którzy wierzą w Boga, nie trzeba wyjaśniać — tym zaś, którzy nie wierzą, nie wyjaśnić nie podobna”. Film zdobył w Ameryce wielki rozgłos i trzeba przyznać, że twórcą scenariusza bardzo wiernie i nie naruszając zasadniczej treści książki powiazał sceny z życia Bernadetty. Chciało by się jednak doradzić, aby ci, którzy zamierzają zobaczyć film, najpierw przeczytali książkę. Poza treścią bowiem jest tzw. „klimat książki”, wycharowywany przez celne słowo pisarza i wyobraźnię czytelnika. Film posiada pozornie łatwiejsze zadanie niż książka, musi jednak delikatnie przedziwno fantazji wyrazić w konkretnej, ustalonej formie. Narzuca ją widzowi bezkompromisowo i definitywnie. Stąd tak częste rozczarowania, gdy nasze ulubione powieści oglądamy na ekranie.

Temat filmu stwarza jeszcze inne zastrzeżenia. Wprawdzie książka, w dodatku tak proste i piękne, jak powieść Werfla, bywają szeroko dostępne, książkę jednak czytelnik przeważnie świadomie wybiera, z filmem zaś bywa często inaczej. Widz kinowy jest bardziej przypadkowy niż czytelnik książki. Z tego powodu dla pewnego typu filmów, zwłaszcza zaś dla filmów religijnych, należało by wybrać odpowiedni czas i środowisko, należało by je wyróżnić i nie umieszczać między gangsterskim thrillers'em, a rewia „pin-up-girls”.

Z książką Werfla wyłania się problem świętości. Świętość dana jest w życiu codziennym, zawsze w każdej epoce, leży niemal pod ręką każdego. Cała trudność sprowadza się do tego, by ją zobaczyć. „Pieśń o Bernadecie” ma to ułatwić czytelnikowi.

Jest to pieśń pospolitości i ubóstwa. Bernadette Soubirous wyszła z rzęsy biedaków i prostaczków. Ani zbyt ładna, ani zbyt mądra, jest wykwitem przeciętności; taka jak miliony innych. Spada na nią ciężar niesłychany wyboru dla świętości. Cieszą ten łamie życie Bernadetty. Bo chociaż świętość mieści się w dniu powszednim, nie jest ona rzeczą łatwą. Bernadette zapłaciła za nią całą cenę.

— „Co ty robisz, Bernadette, że chorzy zrywają tylko ciebie, że najbardziej cierpiący w szpitalu wolą w boleściach czekać, byleś ty właśnie przyszła im z pomocą?” — pyta siostra Maria Teresa, którą los wystawił na gorzką rywalizację z jej najgorszą uczennicą.

— „Nie nie robię” — odpowiada Bernadette i Maria Teresa dość jest mądra, aby zrozumieć, że to prawda. Czy można własnymi siłami osiągnąć świętość? Największe wysiłki, bolesne umartwienia, nieublagana asceza, nie zdołają zmienić sprawy Marii Teresy. Bernadette tymczasem jest samą prostotą, pozostaje taka, jaką była — i może właśnie ta jej niezwykła naturalność, to niezafalszowanie człowieczeństwa żadną pozą, sprawiły, że ona jedna została wybrana spośród tylu wezwanych. Poza tym żyją w Bernadecie dwie najbardziej cenne z cech ludzkich — zrozumienie drugich i współczucie. Od pierwszej młodości Bernadette nastrojona jest na ton odzewu wobec ludzi, do którego Maria Teresa nie potrafi dość mimo najusilniejszych praktyk religijnych. Bernadette jest narzędziem Łaski prostym, czystym i doskonałym, któremu można zaufać, że nie zawiedzie. Dlatego też owa czternastoletnia dziewczynka, córka jakiejś ubogiej rodziny, wygrywa ostatecznie walkę z policją, zandarmami, lekarzami, państwem, Kościołem, a w końcu i ze swoją nauczycielką, od której zresztą miewała zawsze złe noty. W tej świętości skonfrontowanej z dniem zwyczajnym, z życiem codziennym, jest kłopotliwy, a nawet niebezpieczny, uśmiech nieziemskiego humoru.

Werfel oparł swą książkę ściśle na materiale dokumentarnym, „Pieśń o Bernadecie” odbiega jednak daleko od martwych, sztucznych wskrzeszeń historycznych wypadków — książka żyje; są w niej ludzie z krwi i kości. Nie podrabiana prostota tej książki nie sili się na to, by czarować snobów, czy schlebiać prostaczkom. Zamiar wyrażony w tytule powiódł się autorowi całkowicie: Werfel wyśpiewał pieśń o prostej dziewczynie z Lourdes, nowoczesny rapsośd o nowoczesnej świętej.

Inaczej rzecz ma się z filmem. Poza ogólnymi wstępami zastrzeżeniami za największy może błąd filmu trzeba by uznać brak związku z chwilą obecną, tego związku, który tak jest wyraźny w powieści i pozwala nam szczerze odczuć historię małej Bernadetty. Scena ucieczki zrozpaczonych rzesz ludzkich poprzez Francję 1940 roku, wytechnienie żydowskiej rodziny w Lourdes — ta geneza powieści dopomogłaby z pewnością w zbliżeniu filmu do dzisiejszego widza.

Obraz pozostawia jednak duże wrażenie. Zastępują tu przede wszystkim reżyserii i fotografii. Podobnie jak Werfel z codzienności wydobyl świętość, tak z pospolitych widoków i zwykłych twarzy ludzkich fotografia wydobyla piękno — piękno francuskiego miasteczka, mrocznych korytarzy klasztornych, leniwiej, marcowej rzeki Gave.

Starannie przygotowano aktorską obsadę filmu. Główną rolę oddano nieznaną dotychczas artystce, Jennifer Jones, która po mistrzowsku wyszła z trudności, jakie postawiła przed nią jej pierwsza i od razu na taką skalę zamierzona rola. Podobnie dzięki wyraziście, ciężkiej, pełnej chłopięcej siły twarzy, żyła w filmie postać księdza Peyramale (Charles Bickford). Rodzice Bernadetty, a zwłaszcza matka (Anna Revere), tragiczna postać Marii Teresy (Gladys Cooper), lepsza w swym gorzkim niedowiarstwie niż w nawróceniu, przedstawiciele władz miasteczka — wszyscy pozostają w pamięci widza.

Natomiast zieleń film historyczny tło obrazu: tak plastycznie odmalowane w książce czasy Napoleona III, czasy ambicji politycznych i ambicji wiedzy ludzkiej. Zatraca się również w filmie francuskość tego rapsośdu, który mógł odegrać się tylko w kraju Joanny d'Arc i Teresy z Lisieux, francuskość tak silnie bijąca z powieści. Toteż twarze przypominają raczej Nową Anglię niż mieszkających miasteczka spod Pirenejów.

Stąd też zapewne największy zgrzyt filmu. Nie dobrze się stało, że pokazano zjawę ślicznej Pani w ogóle, ale stało się jeszcze gorzej, że pokazano właśnie taką zjawę. Taką, jakiej Bernadette zawsze się wypierała: „Moja Pani nie wygląda, jak posąg z kościoła, moja Pani jest naturalna — chodzi, rozmawia, uśmiecha się do mnie, a czasem nawet się śmieje.” Tymczasem świetlista zjawą w filmie ma szyćwność i sztuczność kamiennej figurki zakonniczki.

W. BRYTANIA, ROSJA A POLSKA

(POLONICA W KSIĄŻKACH ANGLIJSKICH)

Z monografii Amerykanina Arthura Uphama Pope'a o Litwinowie wynikało by, że należy zaliczyć go do największych mężów stanu, jakich wydała ludzkość, a już w okresie między dwiema wojnami nikt nie może mu dorównać. Litwinow „ha sempre ragione”, Litwinow wszystko przewidywał, gdyby świat słuchał Litwinowa, nie doszłoby do obecnej katastrofy. Namietność, z jaką autor sławi swego bohatera, ustępuje jedynie pasji, z jaką oskarża świat anglosaski, a przede wszystkim Wielką Brytanię, o wrogi na każdym kroku stosunek do Rosji sowieckiej — i to właśnie stanowi istotną treść książki Pope'a.

Autor przeprowadza obszerny „dowód prawdziwości”, ilustruje go efektownymi epizodami. Tak więc np. słynny list Zinowiewa z r. 1924, wywołujący komunistów brytyjskich do sabotażu, a ogłoszony przez „fantastycznie antykomunistyczną” *Daily Mail* w przeddzień wyborów, w ustąpieniu gabinetu MacDonalda, był na pewno sfalszowany; brytyjskie czynniki oficjalne skorzystały tu z usług niejakiego Druzelowskiego, białego emigranta, który działał — twierdzi Pope — w myśl instrukcji polskiego 2-go oddziału.

W r. 1925, mimo nacisku Czerwina i Litwinowa Stressemann — w czasie konferencji lokalnej — odmówił potwierdzenia wschodnich granic niemieckich, jak to uczynił z granicami zachodnimi; Stressemann nie chciał uznać polskiego korytarza, poza tym Anglia zachęcała go do zajęcia takiego stanowiska.

Kiedy w r. 1927, po zabiciu sowieckiego posła w Warszawie Wolkowa, liczone się na Zachodzie z wybuchem wojny polsko-rosyjskiej, Austan Chamberlain sondował Stressemanna w Genewie, czy Niemcy przepuszczą wojska brytyjskie i francuskie na pomoc Polsce. Po ponownym uznaniu Sowietów przez Wielką Brytanię w r. 1929, ambasador sowiecki, Sokolnikow, wręczył listy uwiaryściwiające księciu Walii, gdyż — jak dodaje zjadliwie Pope — Jerzy V „wciąż jeszcze pamiętał o śmierci swego kuzyna”.

Przyjął, Litwinow do Waszyngtonu w r. 1933 na rokowania w sprawie uznania Sowietów przez Stany Zjednoczone został zbrojotkowany przez dziennikarzy angielskich. W r. 1937 wrogi stosunek Foreign Office'u do Rosji doszedł do takiego natężenia, że Majskiego nawet nie zawiadamiano o datach zebrań komitetu nieinterwencyjnego w wojnie hiszpańskiej. W kolach, zbliżonych do Neville Chamberlaina, krążyły w r. 1938 „dokumenty”, ukazujące słabość wojskową Rosji: rozpowszechniał je szczególnie usilnie Sir Horace Wilson, „złowrogie (sinister) alter ego” premiera. Dokumenty te rzekomo pochodziły z Intelligence Service, w gruncie rzeczy dostarczał ich Ribbentrop, a sfabrykowała je „grupa antyrosyjskich Polaków w Warszawie.” O zgodzie Stalina na proponowany przez Niemcy pakt o nieagresji w sierpniu 1939 r. miały ostatecznie zdecydować potajemnie nagrane płyty z rozmów Chamberlaina z Hitlerem w Berchtesgaden w r. 1938 i przewiezienie przez Ribbentropa do Moskwy, z których wynikało, że premier brytyjski sugerował Hitlerowi wojnę z Sowietami („certain suggestion from Chamberlain that Germany wage war against Soviet Russia”).

Wojnę Polski przeciw Sowietom w r. 1920 przypisuje Pope w znacznej mierze intrygom wielkich mocarstw, które — skoro zawiadła bezpośrednia akcja interwencyjna w Rosji — uciekły się do działania pośredniego: podsyłania wrogiego stosunku do bolszewików u innych narodów. Metody te napiętnował Litwinow w oświadczeniu z dn. 4 lutego 1920 r., w którym zarzucał pewnym alianckim czynnikom reakcyjnym, że po społu z partią wojskową, elementami konserwatywnymi i z ministrem spraw zagranicznych w Niemczech, rozsiadają pogłoski o zmasowaniu wojsk rosyjskich na granicach Polski. Piłsudski — mówi Pope — chciał skorzystać z rzekomej słabości Rosji w celu zagarnięcia Ukrainy na wschód od Dniepru, mimo że sama Polska znajdowała się w rozpaczliwej sytuacji gospodarczej — że amerykański komitet pomocy żywił półtora miliona (sic!) polskich dzieci.

Francuzi, którzy chcieli wyzyskać ewentualne zwycięstwa Polski dla swoich interesów, w chwili załamania się frontu polskiego wysłali misję wojskową Weyganda. Pope twierdzi, że zapisanie porażki bolszewików na dobro Weyganda jest wymysłem francuskiej propagandy: „Polacy zawiadzają zwycięstwo błędem Trockiego i Tuchaczewskiego, którzy w zbyt szybkim tempie dokonywali ruchu oskrzydłującego i w ten sposób stworzyli niebezpiecznie szeroką lukę w liniach rosyjskich”.

W pełni wyzykało to szybkie i srogie (ferocious) działanie Piłsudskiego. W rzeczywistości Piłsudski tak mało ważył sobie pomoc Weyganda, że nawet nie nazywał go „generałem”, ale mówił o nim jako o „Monsieur” i w nieogłoszonym dokumencie oficjalnym zalecał, aby Weygand wrócił do Francji. „Polska — dodaje autor — nie miała możliwości wyzyskania swego sukcesu i ostatecznie w traktacie Ryskim z 20 października, wyrzekła się swych roszczeń”. Po odstąpieniu Polski od wojny, Rosjanie mogli skoncentrować swoje siły przeciw Wranglowi.

W r. 1939, w czasie rokowań wojskowych z Sowietami, Polska odmówiła — tak twierdzi Pope — zgody na przemarsz wojsk rosyjskich przez swoje terytoria: „Polacy obawiali się, być może — nie bez pewnych podstaw, że jeśli armia sowiecka wejdzie do Polski nawet w jej obronę, wschodnia część Polski będzie na dobre stracona”. Przeważająca część ludności była tu rosyjska (sic!), ale Polacy woleli zaryzykować podbój ich kraju przez Niemcy, niż utratę na rzecz Rosji terytoriów, do których posiadania mieli „dwuznaczny (ambiguous) tytuł”.

Takie stanowisko Polski i brak pewności, czy w decydującej chwili Anglia i Francja nie pozostawia jej swemu losowi, jak to uczyniły z Czechosłowacją, wpłynęły na decyzję Rosji zachowania neutralności. Rosja podejrzewała („bez powodów” — zaznacza Pope), że to Anglia uszytywnia Polskę w jej oporze przeciwko ewentualności przemarszu wojsk rosyjskich, a tę podejrzliwość podsycały takie fakty, jak odmowa udzielenia Polsce pożyczki 25 milionów funtów na zbrojenia w czasie, gdy rozeszły się pogłoski o toczonych przez wysłannika Hitlera, dr. Wohltata, rokowaniach w Londynie w lipcu 1939 r. o pożyczkę dla Niemiec w wysokości miliarda funtów. „Dalsze wypadki wskazują, że podejrzliwość Rosji wobec Angli i Francji była uzasadniona: uczyniły one albo mało, albo nie, aby przeszkodzić upadkowi Polski... Gdyby dokonano szybkiego i zdecydowanego uderzenia poprzez Ruhr, której część była w tym czasie w zasięgu artylerii francuskiej, dywersja taka mogłaby Polsce pomóc...”

Pope przypomina, że w r. 1936 — po wkroczeniu Niemiec do zdemilitaryzowanej Nadrenii — Francja pozostała odośobniona; jedyny wyjątek stanowiły Polska i Rosja. „Polska, pod zdecydowanym (resolute) Piłsudskim, który należał do obozu Hitlera i niebezpieczeństwo nazistowskie, oświadczyła gotowość uderzenia na Hitlera — bez względu na pakt o nieagresji — o ile Francja wypowie wojnę”.

Postać Piłsudskiego fascynuje autora, zasadniczo niechętnego Polsce: nazwę rosyjskich oddziałów rewolucyjnych z r. 1906, „bojewiki”, wywodzi od nazwy polskiej „bojowców”, zorganizowanych przez Piłsudskiego i „wysoce biegłych w zakresie ekspropriacji”.

SCRUTATOR

100 „Dzienników mówionych”

Popularny na terenie Jerozolimy polski „Dziennik Mówiony”, prowadzony przez wytrawnego dziennikarza łódzkiego, red. St. Chruszczewskiego, zakończył swój czwarty z kolei sezon (1944/45), rozpoczynając, jak co roku, przerwę letnią w okresie wzmożonych upałów. W sezonie tegorocznym „Dziennik Mówiony” dosięgnął setnego wieczoru — setny numer „Dziennika” odbył się w Jerozolimie, w sali kina Tel-Or przy tłumnym udziale publiczności i był poświęcony z okazji jubileuszu tej zasłużonej placówki kulturalnej.

inicjatywa Dzienników Mówionych powstała w początkach r. 1941. Już w końcu 1940 r. na teren Palestyny przybyła większa ilość Polaków. Nie było tu wówczas ani polskiego dziennika, ani polskich audycji radiowych i większość uchodźców, nie znających ani angielskiego, ani hebrajskiego, pozbawiona była nie tylko gazet, książek, ale i najprostszych informacji o sytuacji politycznej. Wówczas to powstała myśl zorganizowania stałego dziennika mówionego, który, obywatelom — bez cenzury, maszyn, papieru i co równie ważne — bez funduszy, mógł zastąpić Palestynie brak polskiego słowa drukowanego — słowem mówionym. W ten sposób pierwszy „numer” dziennika ukazał się w Haifie w styczniu 1941 r. Ogółem odbyło się w Haifie czternaście dzienników, których pierwszymi współpracownikami byli: ksiądz Karkowski, ksiądz Niemkiewicz, kpt. Tomala, red. Borowicz, Maria Radwańska, Al. Czudowska, H. Lebkowska, E. Starzyńska, H. Janicka.

Wraz z wzrostem ilości uchodźców i powstaniem na Środkowym Wschodzie polskich oddziałów wojskowych „Dzienniki Mówione” przenoszą

Dla polskiego czytelnika i widza pieśń o Bernadecie jest „Romantycznością” nakreśloną na miarę epopei. Skala tu całkiem inna, ale i Mickiewicz w balladzie, tak samo jak i Werfel w powieści, przechodzi na stronę prostaczków: ta sama solidarność ludu wobec spraw nadmysłowych, ta sama czułość dla wybranej, takie same stanowisko oficjalnych medrów i podobna prostota dziewczek i miłość, w imię której niepoznawalne staje się oczywistym.

zg.

*) Franz Werfel: „The Song of Bernadette”. Trans. L. Lewinsohn, 1 ed. Stockholm 1941. 20th Century Fox: „The Song of Bernadette”. Directed by Henry King, produced by W. Perlberg. Scenariusz — George Seaton.

Kurs północny...

(Dokończenie ze strony 3-ej)

Zawstydzilem się.
— Sorry. Od niedzieli jestem w morzu — powiedziałem, chcąc jakoś usprawiedliwić ten odruch.

Liczą na palcach:
— Niedziela, poniedziałek, wtorek, środa, czwartek.

Pokiwali głowami:
— Zupełnie dosyć...

W kabine starszego oficera jest upał, ja zaś dygoję z zimna pod kocami na jego koi. Skiper podaje mi po tyku wody, nie pozwalając rękami uchwycić szklanki... Potem prosi o dowody tożsamości.

Nie mam nic, prócz pamiętnika pisanego na kornierzyku.

— To zupełnie wystarczy — mówi skiper. Przygotowuje dla mnie własne ubranie i martwi się, że rękawy będą trochę za krótkie.

— Wystaliśmy już sygnał o tobie na lotnisko — powiada. — Za pół godziny będziemy w porcie; tam już czekają lekarze. Znaleźliśmy ci sześć mil na południe od Beach Head. Teraz idziemy do New Haven.

Opowiada o sobie, pokazuje fotografie rodziny, zaprasza na urlop i wszelkimi sposobami stara się zająć moją uwagę, żebym nie myślał o picciu.

Wreszcie — zakotwiczymy. Gdzieś mnie niosą, wiozą, znów niosą... Coś dzieje się dokoła mnie, jakieś głosy, dźwięki, coraz mniej wyraźne, coraz trudniejsze do rozróżnienia... A potem — szum. Tylko szum, który rośnie, nabrzmiewa, pedzi. Widzę różowego łabędzia, jak rozdzwaja się, odpływa. Dwa różowe łabędzie, cztery, osiem — całe szeregi, sznury różowych łabędzi! Potem — słońce i balony, które rozpycha na lewo i na prawo czarna pionowa krawędź. To dziób statku. Wyją silniki — nie: syreny! I — słońce pęka nad kredowym brzegiem, wylewając na białe skały gęstą czerwoną maź. Zbieram ją palcem, bo wiem, że to pigułka na podtrzymanie energii tak się rozpuszczy. Ah — zalały mój pamiętnik na kornierzu od koszu, i — co teraz powie Jean? Tak: co teraz powie Jean?... Nie znajduję odpowiedzi na to dręczące pytanie. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie mi się podziła. Przecież miałem ją gotową; była w kopercie z napisem: „Każdy kurs północny prowadzi do bazy”. Mam tę kopertę z całą pewnością, tylko nie wiem gdzie...

— Boże, jak mi się chce pić!
Otwieram oczy. Jean podaje mi szklankę. Piję. Nareszcie mi nie bronią. Aha: jest i koperta: leży na kółdrze, którą jestem przykryty.

— How are you now? pyta Jean. Jean?... Ależ tak: Jean!

— Skąd pani się tu wzięła? — pytam zdumiony.

Śmieje się.
— Nareszcie pan mówi do rzeczy. Ja tu jestem już drugi dzień od chwili kiedy pana przywieźli.

— Dokąd?
— No tu, na lotnisko.
Aha! Zaczynam rozumieć. Lecz nagle mój wzrok pada na białą kopertę na kółdrze i znów nie jestem pewien, czy mi się śni, czy nie.

Jean domyśla się tego widocznie, bo otwiera kopertę i mówi:

— Nie potrafisz przeczytać, bo to po polsku. Ale Jurek mówi, że pan powinien najpierw o tym się dowiedzieć.

— Ale ja chcę wiedzieć przede wszystkim, co się działo w dywizjonie. Więc Jean opowiada:

Ze kontroler słyszał mój raport o zestrzeleniu Focke Wulffa, który już jest wpisany na moje konto; że zapewne źle mnie namierzono, bo równocześnie ktoś inny wołał „May day”; że szukały mnie Typhoony jeszcze tegoż wieczora, a następnego dnia rano kilka sekcji z dywizjonów angielskich, bo nasi byli nad Francją, lecz po powrocie szukali całą eskadrą. Dwa razy latali aż pod brzeg francuski, wypatrywali, widzieli nawet kawałki drzewa unoszone przez fale, i tylko mnie znaleźć nie mogli. Szukał jeden i drugi nasz dywizjon, i wciąż na próżno. Wreszcie Admirałacja orzekła, że nie mogłem przeżyć tak burzliwej nocy, i że nie ma co szukać dalej. Opieczutowano więc moje rzeczy i wykreślono mnie z listy pilotów.

— A ja przez cały czas wiedziałam, że pan wróci — dodaje Jean.

— Naprawdę? — pytam.

— Naprawdę — mówi z uśmiechem.

— Jean, gdybym mógł się ruszać, pocałowałbym panią za to — oświadcza stanowczo.

No i naturalnie Jean całuje mnie w oba policzki.

Wzdycham z rezygnacją: ten pocałunek jest o wiele bardziej „siostrzany” niż bym sobie tego życzył...

— Ale pan to musi przeczytać! — woła Jean podsuwając mi przed oczy ćwiartkę papieru. — To jest depeza.

Czytam najpierw podpis, i czuję, że ogarnia mnie wzruszenie. Unoszę się na łóżku i czytam od początku:

„Niezmierznie cieszę się z ocalenia pana porucznika i nie wątpię, że dojdzie Pan wkrótce do formy po tych ciężkich przejściach.

Żołnierski uścisk dłoni — Naczelny Wódz”.

FORUCZNIK HERBERT

Wydał: Ignacy Pokrywa
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.